

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę** przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** *Polityka:* Podział Afryki. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Tak się był urodził. Studium z natury. — *Życie społeczne:* Fizyognomia umysłowa Niemiec w XIX stuleciu p. Stwosza. — *Filozof* pod sądem młocznictwa p. K. R. Żywickiego. — *Badania naukowe:* Neoritteryanizm w Geografii p. W. Nalkowskiego. — *Literatura i sztuka:* Widowiska w Oberammergau p. Ladawę. — *Literatura polska.* Rapacki Wincenty: Hanza, Trefniś p. Zyg. Plet. — *Śmiech i łzy.* (List lwowski) p. H. B. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — *Zdala* p. Z. Atanazego. — *Kronika.* — *Odpowiedzi redakcyi.*

Szanownym abonentom naszym przypominamy termin odnowienia kwartalnej i półrocznej przedpłaty.

Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym dalszy ciąg **Historji rewolucyj francuskiej** Migneta ark. 1—6 tomu drugiego.

### POLITYKA.

#### PODZIAŁ AFRYKI.

Tłumione żądze i łaknienia nowych zdobyczy znalazły małe ujęcie w świeżo ogłoszonej umowie anglo-niemieckiej. Jak wiadomo czytelnikom, Niemcy, za ustępstwa i „rozgraniczenie sfer interesów“ w Afryce, otrzymały wyspę Helgoland. Okrzyki dzikiej radości zmieszały się z wrzaskami zgrozy i szeptami podejrzliwości. Ci, mianując cesarza „pomnożycielem państwa“, wybuchali takim zapalem dla nowej zdobyczy, która obejmuje zaledwie półkilometrowy kwadrat skalistej wyspy, jak gdyby dostali nową Alzację i Lotaryngię; tamci pienili się z powodu straconych łupów w Afryce; inni, nie wiedząc, jakie uczucie objawić, wydawali tylko nieartykułowane głosy. Toż samo, choć w łagodniejszej postaci, powtórzyło się również w Anglii. Zapanował gwar, chaos zdań i przypuszczeń, z którego nie wyszły dotąd jasno stosunki dokonanego handlu.

Nie będziemy tu naturalnie wazyli obustronnych interesów i rozstrzygali, kto zyskał i oszukał a kto stracił i został oszukanym, bo nas to wcale nie obchodzi; rozpatrzmy jedynie sam fakt nowego podziału Afryki, który posiada niezaprzeczoną doniosłość. Jest to już bowiem rozdarcie ostatniego kawału kuli ziemskiej.

Naprzód tedy sułtanat zanzibarski został rozewiertowany i w części (pas ładu stałego) przeszedł pod „protekcję“, to znaczy pod zabór Niemiec, w części zaś (wyspy) — Anglii. Ostatnia ma wprowadzić dla pierwszych dopiero „wyjednać“ u sułtana dobrowolne włożenie szyi w jarzmo, ale można bez omyłki przypuścić, że jej ta „protekcja“ się powiedzie. Dalej Niemcy odstąpiły swej współniczce: Witu z przynależnymi wyspami oraz wybrzeże Somalijskie, tak że jej posiadłości sięgają teraz aż do Juby. Na olbrzymiej przestrzeni wnętrza afrykańskiego, która obejmuje poniekąd Abisynię i dolinę Nilu, ma teraz Anglia współzawodniczkę tylko we Włoszech, z którymi będzie miała lekką pracę. W zamian za to „sfera interesów“ niemieckich została rozszerzoną ku zachodowi aż do państwa Kongo. „Skutkiem tego Anglia — powiada *Frankf. Ztg.* — porzuciła przypisywany jej zamiar połączenia swych posiadłości południowo-afrykańskich zapomocą łańcucha kolonii i protektoratów z Nilem i Egiptem“, chociaż dla swego handlu na tej drodze zastrzegła sobie mnóstwo przywilejów.

Nie podajemy tu szczegółowego rozgraniczenia obu „sfer interesów“, gdyż ono nawet w układzie nie istnieje. Oznacza on je stopniami geograficznymi, które stanowią określenia ogólnikowe, bez punktów i kresów ścisłych, co niezawodnie wywoła w przyszłości nowe spory i nowe kontrakty. Ale to sprawa drugorzędna, daleko ważniejszym jest fakt podziału Afryki między dwa potężne mocarstwa europejskie. Do niedawna jeszcze, oprócz Anglii, inne państwa miały tam drobne stosunkowo skrawki ziemi, ciągnące się wieniec po wybrzeżach; wnętrza zaś pozostało wolnem. Dzięki zaś wyprawom podróżników, uwieńczonych wawrzynami badaczy, a będących agentami handlu i polityki, Europa zaczęła coraz głębiej zapuszczać we wnętrza Afryki naprzód wzrok a następnie ręce. Do zaborów przystąpiła pierwsza, bo najbardziej doświadczona i przygotowana Anglia. Spostrzegł jednak wkrótce lew brytański, że musi po-

dzielić się zdobyczą z groźnym tygrysem niemieckim, gdyż do współpracy z nim zdoła odstraszyć inne głodne i chciwe drapieżce. Każdy z dwu więcej otrzyma, niż każdy z trzech lub pięciu. Włochy, Portugalia, Francja itd. ulegną się tak silnych sprzymierzeńców i będą musiały poprzestać na resztkach zaboru.

Ta rachuba złączyła Anglię z Niemcami. Że w niej jakaś mizerna wyspka rybacka, jakiś Helgoland jest nieważkim prochem, nie potrzebujemy dowodzić. Wetknięto go jak błyszczące szkiełko po to tylko, ażeby nim od głównej rzeczy odwrócić uwagę. Targ szedł nie o półkilometrową skałę i 2,000 biednych rybaków, ale o tysiące mil kwadratowych niewyzyskanej jeszcze ze skarbów przestrzeni, o miliony niewolników robozczych, o słonie i trzecinę cukrową. Na cześć tego nabytku Stanley, dowiedziawszy się o układzie, wydał okrzyk radosny.

Dziś już można powiedzieć *Finis Africae*. Już ona jako zbiorowisko ludów i państw niepodległych istnieć przestała. Obecnie przedstawia zabitego harpunami i wyciągniętego na brzeg wieloryba, z którego handlarze europejscy zdzierają skórę, wyczerpują tran i wyciągają fiszby. Dzikie i barbarzyńskie gromady, żyjące w jej wnętrzu, ani się domyślają, że zapadł na nie straszny wyrok śmierci, że Europa wkrótce przejdzie po nich swemi niszczącymi stopami i rozniecie je jak kupki robactwa. Układ anglo-niemiecki wybił dla nich straszną godzinę zagłady, powolnego lub szybkiego konania a w każdym razie niechybnego zgonu.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Odzyskani bracia“ na Helgolandzie, do których zleciały się stada reporterów, zapytani o zdania w przedmiocie zmiany poddaństwa, oświadczyli, że ich ona przejmuje rozpacz. Przewidują, że zginie ich przemysł, zginie swoboda, i że niedługo zostaną wyparci ze swej biednej wyspy a już ich



dzieci będą musiały dźwigać brzemie militarizmu.

Militaryzm ten stacza obecnie w Niemczech z nieprzyjaznymi mu stronnictwami walną bitwę. Jak wiadomo, rząd wymaga obecnie od sejmu 18 milionów dopłaty na pomnożenie wojska, wkrótce ma zażądać 60 kilku milionów na artylerię i koleje strategiczne, a nadto minister wojny rozłożył rozległą perspektywę jeszcze większych i nieskończonych ofiar. Wytwarza się tedy położenie okropne. Postępowcy, stronnictwo ludowe i socjalno-demokraci łącznie z odłamkami innych partij oświadczyli się stanowczo przeciw dalszemu na ten cel wydatkom. Windhorst, dowodzący liczną drużyną ultramontańską, a z opozycjonistą przekształcającą się coraz widoczniej na stronnika rządu, wniósł w komisji parlamentarnej kilka rezolucyj, kilka idealnych pragnień, które zlagodziłyby surowość służby wojskowej, ale jednocześnie gotów jest zgodzić się na owe 18 milionów. Wprawdzie co do dalszych zezwoleń zachowuje sobie „wolną rękę“, ale ta ręka bywa już teraz coraz bardziej wolną a p. Windhorst, coraz większym spekulantom politycznym. Rozumiemy jednak jego przemiany i zwroty na korzyść rządu, bo jest niemcem; dla czego wszakże p. Kościelski, delegat Koła polskiego w komisji parlamentarnej głosował za pomnożeniem wojska i nowem obciążeniem ludności—nie pojmujemy. Przecież tylu Niemców, niepodlegających w swym patrioizmie, dało mu przykład, że opozycja w tym wypadku nie jest zdradą kraju. P. Kościelski a z nim Koło znowu osadziło się na osi wozu ultramontanów i zdaniem naszym potoczy się po drodze tego sojuszu zbyt daleko.

Nowe ciężary wojskowe potrzebują nowych podatków, nowe podatki—nowego ministra finansów, bo dotychczasowy już wyczerpał wszystkie swoje koncepty; więc usunięto Scholtza a wprowadzono na to stanowisko Miquela, nadburmistrza Frankfurtu, wsławnego już ojcostwem kilku projektów podatkowych. Cesarz nazwał go kiedyś „swoim człowiekiem“, odtąd narodowo-liberalni, których Miquel jest przyzwódcą, śnili ciągle o tece ministerialnej dla niego, i ta wreszcie im się wysniła.

Ks. Bismark, przyjmując deputację od 30,000 berlińczyków, naturalnie znowu otwo-

rzył przed nią swoje serce. Wynurzenia jego wszakże były tym razem nieco odmienne: objaśnił bowiem, że ustąpił nie skutkiem różnicy zdań z cesarzem, ale z kolegami w ministerium. Zapewnił przytem, że mu nikt nie może odjąć prawa wyrażania swych przekonań, że zajmując się przez 40 lat polityką, nie może teraz zajmować się wyłącznie pszenicą i kartoflami, że pracuje dla pokoju i dynastji. Sądzymy, że ta dynastja byłaby mu bardzo wdzięczną, gdyby dla niej nie „pracował“.

Cesarz austriacki, podczas uczt w Pesszcie, rzuca w uszy delegatów słówka znaczące, które mają oddziaływać na dalszy bieg obrad parlamentarnych, a zwłaszcza na potarganą ugodę czesko-niemiecką. Franciszek Józef ryzykuje nawet do pewnego stopnia swą powagę, twierdząc stanowczo, że ta uгода do skutku przyjść musi.

Pomiędzy Serbią i Austrią wre dalej walka ekonomiczna, wywołana sprawą świń. Obie strony usiłują wyrządzić sobie wzajemne szkody i obie nie objawiają chęci do ustępstw.

W Paryżu utworzyło się „Stowarzyszenie przyjaciół Rosji“, które wydało odezwę do swych rodaków, upatrując w sojuszu z Rosją jedyną rękojmnię całości i niepodległości Francji.

Prezydent San Salvadoru, Mendez, umarł nagle, rażony apopleksją. Z tego wypadku miał wynikać popłoch, w którym zginęło kilku dostojników. Po raz pierwszy chyba czyjaś apopleksja wywołała takie skutki. To też sądzymy, że ona po bliższych wyjaśnieniach otrzyma inną nazwę.

Papież nadał kilku biskupom, a między innymi krakowskiemu godność kardynałską. Ponieważ kapelusze wręczony będzie ks. Dunajewskiemu w Wiedniu wobec cesarza d. 30 czerwca, przeniesiono więc z tego dnia na 4 lipca obchód złożenia na Wawelu zwłok Mickiewicza.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### FIZYOGNOMIA UMYŚŁOWA NIEMIEC w XIX stuleciu.

„Hundert Jahre Zeitgeist in Deutschland, Geschichte und Kritik“ \*). (Sto lat ducha czasu w Niemczech, historia i krytyka)—oto tytuł najnowszej pracy Juliusza Duboca znanego filozofa, który ze sprytem francuskim łączy gruntowność niemiecką, z wdziękiem stylu polot i głębokość myśli. Dzieło to zawiera próbę odkrycia formuły bieżącego stulecia. Poznajemy charakter okresów, porównyując je z poprzednimi, badając stanowisko ich historyczne oraz psychologiczną ich zawieszłość. Filozofia historii milczy już od lat dziesiątek; na jej miejsce wstępuje coraz wyraźniej psychologia dziejów. Na tem właśnie polu Duboc celuje. Porzuca metafizyczno-historyczne prawa rozwoju, przyjmując natomiast psychologiczno-historyczne prawo przemiany materji duchowej, wyrównywania się nadmiaru nadmiarem wprost przeciwnego rodzaju. „Skoro przesył w pewnym kierunku obudził odrazę lub obojętność, następuje zmiana a tem samem nowe życie“. Tem więc cechuje się historjografia Duboca, że kładzie on główny nacisk na sferę wrażeń i instyktów zmiennych, mniejszy zaś na sferę myśli i woli. Z tego punktu widzenia śledzi rozwój umysłowy Niemiec w ostatnim stuleciu, tłumacząc szczegółowo jego fazy związkiem przyczynowym, przypominającym procesy psychologiczne jednostki myślącej.

Pierwszy okres tego stulecia obejmuje według Duboca, lat pięćdziesiąt, od pojawienia się *Krytyki czystego rozumu* aż do śmierci Hegla. Jestto czas, w którym pisano więcej dzieł filozoficznych, aniżeli historycznych lub poetyckich, w którym Fichte kobietom i kupcom wykladał o bycie absolutnym. Duboc upatruje ośrodek tej epoki w Kancie; pogląd to mylny, gdyż nie z Kantem utożsamiały następne pokolenia istotę tego czasu, lecz z Heglem, owym metafizykiem nad metafizykami.

\*) Lipsk, Otto Wigand.

2)

## Taki się był urodził.

Studyum z natury.

Tymczasem sąsiedzi byli niezmiernie radowi, przetrzymali od śniadania do wieczery, wyrwać się nie wypadało, dopiero nocą przyjechali z powrotem. Kazio spał już snem sprawiedliwego. Tylko oddech szybki, wypieki na twarzy i przez sen rzucane słowa pozwalały domyślać się, że czas nieobecności rodziców na świeżem powietrzu spędził, że powetował sobie przymusowy spokój.

Matka stanęła na chwilę nad nim, posłuchała oddechu, przyłożyła rękę do jego czoła i poszła się rozbierać. Rozebrana usiadła przy swem łóżku i wzięła ukochaną książeczkę do ręki... Jakiś nieład tam spostrzegła. Szybko przewracała kartki, oglądała obrazki: św. Anna miała dorobione wąsy, św. Ignacy rogi na głowie, św. Apolonia paliła cygaro, doczesne kształty św. Piotra były na jego todze niezgrabnie, ale z wszystkimi szczegółami odmalowane. O dopiskach w tekście porobionych wspominać nie wypada.

Niestety jego to było pismo, Kaziowa niezaprzeczenie ręką uzupełniała obrazki. Biednej matce książeczka wypadła z pal-

ców, obrazki rozsypały się po ziemi. Dłońmi twarz pochyloną zasłoniła, niby w sen kataleptyczny zapadła; tylko czasem pierś jej targnęła się łkaniem, dreszcz czasami wstrząsał jej ciałem.

Jeszcze nazajutrz służąca tak ją zastała.

— Jezu miłościwy, pani ino *charce* — zakomunikowała klucznicy.

Klucznicza pobiegła do śpiącego jeszcze pana.

— Wielmożny panie! Wielmożny panie!

— Hm... ha! Czegóż znowu?

— Aha! to pani. Cóż tam takiego?

— Niech Matka Boska od nieszczęścia chroni... nie się wielkiego nie stało.

— No! ale cóż przecie?

— A no nic, ale Julka powiada, że pani ino *charce*.

— Co znowu? zwaryowała pani?

— To nie ja, ino Julka powiada.

Hałas się zrobił w domu, posłano po lekarza. Nic to wszystko jednak nie pomogło, doktor powiedział, że żyły w niej przez chorobę skruszały i jakaś pękła, pewnie ze wzruszenia, gdzieś w mózgu. Trzy dni się jeszcze biedaczka męczyła, ale do przytomności nie przyszła.

Domysły były, że powodem wzruszenia był niezawodnie Kazio, ale na książeczkę wśród zamieszania nie zważano z początku, a potem po pogrzebie, mimo że szukano jej, jako pamiątki, gorliwie, nie znaleziono. Kazio spalił ją z przeznaczeniem.

Lecz tam nikt u niego nie widział, choć inni rozpaczali, tylko od tego czasu cie-

mości bał się niezmiernie i na grób matki modlił się chodził czasami.

Siostra starsza, Wanda, objęła ster gospodarstwa domowego. Możliwy tomy spisywać, jak „miły Kazio“, którego ojciec ku swemu strapieniu w domu musiał trzymać, brojąc jej co chwila jakąś psotę złośliwą, w kwadrans najdalej potulny zjawiał się w spiżarni.

— Wądziniu, moja złota, daj mi smażonego agrestu.

To samo z ojcem. Przed kijem tylko koryzł się. Kiedy indziej, bywało, ojciec wspomniawszy matkę, nie bije już tylko burczy. Przedstawia czasem wzruszony.

— Powiedz mi, co z ciebie będzie. Póki ja żyję, karmię cię. Chronię nietylko przed innymi, ale przed tobą samym. Nie masz jednego człowieka, co by cię znosił, wszysej cię nie cierpią, nienawidzą. Cóżby się z tobą stało, gdybym ja umarł. W więzieniu zgnięsz, albo pod płotem zmarznąć ci przyjdzie.

— Tatu, weźmiesz mnie jutro na jarmark?

Trzy lata pan Skarbiewski nosił po zonie żalobę nietylko w sercu, bo tam przechowała ją do śmierci pewnie, ale i widoczną, jako krepe na kapeluszu. Nieboszczyk kochał bardzo, zawsze ją wspomina, ale gospodarstwo duże, gospodyni brak wielki; wkłady by się jakie takie przydały wśród nieurodzajów; no i towarzyski życia potrzeba koniecznie. Postanowił się ożenić, nie trudno mu to nawet poszło.

Zapewniwszy sobie słowo swej przyszłej, zwołał dzieci i oświadczył im, że nową do-



Łatwiej zgodzić się na konstrukcję następnego okresu, którego słowem myślowym Duboc mieni Ludwika Feuerbacha. Jestto okres realistyczno-idealistyczny; realistycznym jest w nim program „zesrodkowywania się w dziedzinie ziemskiej,“ idealistycznym stawianie człowieka nad przyrodą, oraz nie mniej zapal dla najwyższych celów człowieczeństwa, który zrodził ruch 1848 r.

Po realistycznym idealizmie nastąpił pesymizm, jakby otrzeźwienie po oszłomieniu. Duch czasu, zarzuciwszy marzenia spekulacyi, zaczął walczyć o ideały życia, a spotkawszy się z niepowodzeniem, popadł w gorycz. Dość rozpowszechniony panuje pogląd, że pesymizm obecnie jest kierunkiem dominującym w filozofii niemieckiej. Tymczasem ustępuje on coraz bardziej. Nietzsche wyzwolił się z pod wpływu Schopenhauera, Dühring podnosi wartość życia, Hartmann zajmuje się polityką i estetyką, Duboc sam rozbiera krytycznie naukę Schopenhauera.

Cóż więc pozostało duchowi czasu, skoro postradał zarówno wiarę w świat transcendentny, jak w idealną wartość realnego? Skoro bankructwo jest niechybnem, należy zagarnąć ile możliwości najwięcej z zawodnego szczęścia. W ten sposób pesymizm przemienia się na materjalizm etyczny, który wyznaje zasadę rozwijania siły. Rozdział o materjalizmie etycznym jest najwybitniejszą częścią w dziele Duboca; żałować należy, że nie bez pewnej dowolności poprzestaje w nim autor głównie na krytyce sfery produkcyi artystycznej.

Trzy są zasady piękna, czyli „momenty używania“ w sztuce: podobieństwo, czyli forma charakterystyczna, treść idealna i doskonałość wykonania. Pierwszą i trzecią tylko zasadę wyznaje materjalizm etyczny; jakąż dlań wartość mieć może osnowa, skoro pesymizm go pouczył, że cała treść świata jest zerem? Jednak, spragniony używania, nie chce zrzec się tak doniosłego momentu używania; w miejsce doboru treści, stawia tedy napięcie nerwów, powodowane jakimkolwiek przedmiotem, silnie je poruszającym; zamiast idealizowania posługuje się sensacyjnością. W ten sposób powstała sztuka, która zasługuje na miano naturalizmu nie dlatego, iżby wierniej charakteryzowała, aniżeli idealistyczna, ale dlatego, iż

rezygnując z wyboru, bardziej ją zbliża do masy przedmiotów istniejących. Związek z fermentującym pierwiastkiem społeczno-reformacyjnym, fanatyzm w odkrywaniu kłamstw życia nadaje jej pawną wartość etyczną, lecz nie artystyczną. Rys przyrodniczo-naukowy, szukający tego, co jest prawidłem a nadto rys demokratyczny, każą sztuce tej zajmować się głównie typem, człowiekiem przeciętnym. W Ryszardzie Wagnerze przemawia duch czasu, jako mistrz dźwięków; jest on narodowym, demokratycznym, społeczno-rewolucyjnym, erotycznym, bezustannie niespokojnie poruszającym. Nigdy nie ceniono w sztuce przyjemności, polegającej na rozdrażnieniu tak wysoko, jak dziś, a nikt większym nie jest mistrzem w obudzeniu tego „rozdrażnienia“, aniżeli Wagner. Muzyka jego może przylguszy poczucie moralne, uświecając namiętność, zrywając granice prawa i obyczajów. Materjalistyczny charakter jego muzyki upatruje Duboc zwłaszcza w „Trystanie“. Podobnie w Ibsenie widzi on siłę materjalizmu etycznego: przebija się ona w niepohamowanej potędze uczucia miłosnego i w opozycji przeciw świętości małżeństwa, której Duboc broni. Jednostronność krytyki jego jasna jest dla czytelników, znających utwory tego poety; w pokonywaniu samego siebie i w kierowaniu samym sobą—tego uczą dramaty Ibsena—nie ma materjalizmu a w owej powszechnej tęsknocie za prawdą, w owej budzącej się wszędzie potrzebie rzetelności powinien by krytyk poznać zaczął nowej etyki.

Naturalistyczny realizm wywołał wreszcie reakcję: umysły, niezadowolone nauką o wiecznej przemianie bez polotu wyższego, zaczęły wracać do wiary w istnienie bóstwa i w nieskończony postęp wszechświata; od realizmu zaś przejęły metodę doświadczenia; w ten sposób powstała mistyka nowoczesna, spirytyzm, sonambulizm, nauka Du Prela o nieznikomych podmiotach transcendentnych. O ile mistyka ta postępuje drogą ściśle naukową, jako psychologia, o ile pragnie rozszerzyć siatkę pojęć dotychczasowych, opozycja nauk przyrodzonych jest nieuzasadnioną i wypływa chyba z obawy uronienia mniemanych zdobyczy.

Ostatni rozdział nosi napis: „Ewolucya i rewolucya“. Jest to olśniewający obraz

przyszłości, tchnący postępowością i optymizmem. Duboc wykazuje, że w życiu kulturalnem—w przeciwstawieniu do zwierzęcego—odbywa się niejako ruch dyalektyczny, mocą którego prawo mocniejszego powoduje zawsze wzmocnienie prawa. Silniejszy bowiem, wywierając nacisk, wywołuje zawsze przeciwdziałanie w niższym, uciskanym, wskutek czego następuje rozszerzenie kultury i ograniczenie egoizmu względami dla drugich. Zło zawsze pozostaje w służbie dobrego; nędza, samolubne popędy, rozwijając się, zmuszają ludzką do uznawania ich, a tem samem stają się dźwigniami postępu. Prawo to uwidocznia Duboc na cywilizacyjnej potędze kapitału. Z jednej strony podniósł on produkcję, komunikację, sumę bogactwa; z drugiej zaś strony wywołał humanitarną działalność polityki społecznej. Kapitał, potrzebujący nowych pól obdytu, dał początek polityce kolonialnej, która spowodowała zajęcie się wyzwoleniem niewolników, rozwarła podwoje zamkniętych obszarów, udoskonaliła kulturę dalekich krajów i zbliżyła ludy.

Na żadnem może miejscu w dziele Duboca jałowość konstrukcyi filozoficznej nie występuje tak rażąco, jak w wywodzie powyższym. Zapewne przypomniał sobie czytelnicy artykuł p. t. „Wielki słon“, w którym *Pravda* dobitnie rzuciła światło na działalność Stanleya i podobnych jemu apostołów kolonizacyjnych. Skoro tak wyglądać ma „zbratanie ludów“ to należałoby je wykreślić z rzędu ideałów ludzkości. Atoli Duboc z niezachwianym optymizmem wykazuje, że celem rozwoju dziejowego jest całkowite zlanie się interesów i sympatyj w człowieczeństwie, i że ważną fazą tego rozwoju jest umocnienie narodowości w stuleciu dziewiętnastem.

Duboc pokusił się w swej pracy o próbę psychologii czasów, mającej powstać jako nowa umiejętność obok psychologii ludów. Mówią, że okresy dziejowe, podobne do sfinksów, znikają w przepaściach czasu, skoro rozwiązano ich zagadkę. Czy Duboc rozwiązał zagadkę naszego stulecia? W dziele jego rozwiązania dopatrzyć trudno, ale pobudza ono do wytwarzania sobie własnych myśli o współczesnych objawach kulturalnych i historycznym ich znaczeniu, a to najskuteczniejsza droga do istotnego pokona-

stanę mamę. Opowiadał im, jak ich matkę kochał, jak ją do dziś kocha, rozplakał się i łkając tłumaczył im potrzebę powtórnego ożenienia. Wanda, płacząc, całowała rękę ojca. Franek czuł, że go coś w gardle dławii, ponuro patrzył zaszepiony. Kazio siedział spokojnie, chustkę od nosa na kolanie układając.

— Ty wiesz, Wando — mówił ojciec — jak trudno idzie gospodarstwo, jak koniecznie potrzebuje ono silniejszej, niż twoja, ręki. Przyznasz mi, że często odczuwasz potrzebę jakiegoś kobiecego serca, któremu byś zaufać mogła, kogoś blizkiego, kogobys się zaradzić mogła. Wierście mi, dzieci, kiedyś zrozumiecie, że to raczej dla waszego, niż dla mojego szczęścia czynię.

— Popatrz Franek, to takie, jak wachlarz — wtrącił Kazio, pokazując ułożoną chustkę.

Wtedy to ojciec wstał, nie dodawszy słowa więcej. Poszedł do siebie i napisał do rodziców nieboszczki żony długi list z prośbą o przyjęcie do swego domu tego wyrostka, choć na czas jakiś, aby przyszła żona pierwiej zapoznała się z resztą dzieci — rozumiała, że nie wszystkie przecie takie. On by wobec niej nie zniósł wstydu, jakim go ciągle ten chłopak okrywa. On by może kiedyś usłyszeć musiał jakiś przycinek wymierzony przeciw tej męczennicy, matce wyrodnego dziecięcia, a wtedy serce nazbyt by go bolało.

W parę dni nadeszła odpowiedź od starych, którzy zięcia dosyć lubili, i Kazio znalazł się w domu swych dziadków.

Przyjęto go nawet wcale nieźle. Dziadek oddawna już dowodził, że temu chłopcu tylko ręki silnej brakuje, mundsztuka, na którym poprowadzić by go umiano. Rad niemal był, że będzie mógł wykazać korzyści dawniejszego sposobu chowania dzieci. Babka podobieństwa znowu do córki łatwo we wnuku dopatrzyła, poglaskała go nawet i łakociami na początek przyjęcia.

Niedługo to trwało. W parę dni babka przyszła dośniadania jakas zamysłona, zdawała się szukać czegoś, odzywała się chyba półgębkiem, na domowników patrzyła z ukosa. Zdziwiło to wszystkich, bo staruszka miłą była zazwyczaj, ale daremnie łamano sobie głowy domysłami.

Dopiero gdy wszyscy usiedli już przy stole, wchodził Kazio z miną Judasza Iskarioty i witając się, kładzie przed babką sztuczne zęby.

— Zapomniała sobie babcia, a czemu by jadła?

Efektowna zaiste scena. I dziadka mundsztuk okazał się za słabym, by powstrzymać chłopaka od ugania się za podobnymi efektami.

Tak spłynęło dwa lata; Kazio coraz bardziej bity, coraz bardziej brykał. Pod koniec drugiego roku, jesienią już, wybrał się wieczorem nad rzekę, aby rybakom ryby ze skrzyni wypuścić. Wpadł wtedy w wodę i ku stwierdzeniu przysłowia nie utopił się wprawdzie, choć tam głębia była, ale przeziębził się i zapadł na ciężką jakąś, gorączkową chorobę. Co to było, rzecz niepewna, bo jedni utrzymywali, że zgnęła go-

rażka, drudzy, że żółta febra, a po lekarza nie posłano, ponieważ wszyscy się godzili, że pewnie go już Pan Bóg ze świata zabierze, by go w dobroci swej przed szubienicą uchronić.

Chłopiec pozółkł z początku, jak cytryna, a potem zrobił się bardzo oliwkowy. Gorączkował i majaczył. Jednego dnia niby lepiej mu było, drugiego, znowu dreszcze przychodziły. Kilka razy dostał nawet jakichś drgawek, łypał oczyma, pianę toczył — a tu znowu nie pogodzili się doświadczone kobiety. Babka utrzymywała, że to choroba św. Walentego, rezydentka zapewniała, że św. Wita.

Nie umarł jednak, wstał po jakimś czasie wyschnięty i kaszlący, a zły, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej, niż wprzód. Obchodzili go wszyscy zdaleka, o ile tylko mogli, bo bić go — nie bezlitosnem już, ale wprost wstrętnem im się wydawało, a wytrzymać z nim sposobu nie było.

Jednego poobiedzia wyszedł z domu i ni stąd ni zowąd znikł bez śladu, bez wieści. Widziano go, jak szedł do ogrodu, widziano go w ogrodzie; to też gdy późno już wieczór zaniepokojono się jego nieobecnością, przeszukano ten ogród z latarniami jak najdokładniej. Nic jednak nie znaleziono, tylko w jednym miejscu, koło jabłoni, gdzie ogrodniczek tego dnia jabłka zimowe obierał, krwi ślady psy zwęszyły. Wysoka drabina leżała porzucona na ziemi, i nie prócz tego, coby na trop chłopaka naprowadzić mogło.

W tydzień może dopiero ów ogrodniczek przyznał się pod sekretem stajennemu, że



nia okresu, który w życiu człowieczeństwa jest jeno momentem ewolucyjnym.

Stwosz.

## F I L O Z O F POD SĄDEM MIESZCZAŃSTWA.

W r. 1850 ukazało się jedno z pierwszych dzieł socjologicznych Herberta Spencera *Statyka społeczna*. Między innymi znajdujemy tutaj ustęp, poświęcony prawom użytkowania z ziemi. Rozumowanie autora można przypomina wywody filozofów społecznych z wieku XVIII. Treść mniej więcej taka; wszystkie stworzenia tego samego rodzaju, zrodzone w jednakich warunkach, posiadają jednakie prawa do świata, w którym się znalazły; żadne z nich nie ma prawa do usunięcia innych od czegokolwiek. A zatem bezwzględna sprawiedliwość oświadcza się przeciw wyłącznej własności ziemskiej; ludzie usunięci od ziemi z równą słuszością mogliby być pozabawieni życia. Zresztą prócz tej bezwzględnej moralności są jeszcze inne przyczyny, potępiające prywatne posiadanie gruntów, mianowicie przy bliższym rozbiórce okazuje się, że własność ziemska zrodziła się wszędzie z gwałtów i oszustw. Czyż jakąkolwiek można oprzeć na takiej bezprawnej podstawie? Wogóle prywatna własność ziemska posiada za sobą tyle słuszości, ile przysądzenie jednych ludzi drugim od pewnej szczególnej chwili dziejowej. Zresztą nikt nie wierzy w bezwzględne prawo landlordyzmu do ziemi; jeśli potrzeba przeprowadzić kanał lub drogę żelazną przez czyjś majątek, społeczeństwo nie cofa się przed wywłaszczeniem posiadacza wbrew jego woli, tem samem ogłaszając, że naród więcej posiada praw do gruntu, niż jednostka. Wobec tego społeczeństwo może upomnieć się o ziemię i odebrać ją, oddając w dzierżawę od siebie, a ten stosunek zgola nie zmniejszy swobody osobistej obywateli. Lecz sama kwestya powrócenia gruntów narodowi jest nader złożoną; widocznem jest jednak, że usuwając wyłączność władania, popełniamy mniejsze bezprawie, niż zatrzymując przywilej jednych a wywłaszczając innych.

Słowem, zasada równie swobody dla wszystkich pociąga za sobą, równe prawo każdego do gruntów. Narodowa własność ziemska daje się zupełnie pogodzić z wysokim stopniem cywilizacji a jakkolwiek trudno rozwiązać tę sprawę, bezwzględna sprawiedliwość nakazuje to uczynić.

Było to przed laty 40, t. j. na początku okresu, kiedy w dążnościach społecznych Anglii ukazał się nie tylko zastój, lecz wprost uwsteczniczenie. Od lat kilkunastu wszakże w miarę jak Anglia traci swe stanowisko na rynku międzynarodowym, najmici zaś jej—swoje dawne wysokie zarobki, zaczynają się pojawiać żywsze prądy w kraju i między innymi w swoich dążnościach powoływać się na wywody autora *Filozofii syntetycznej*. Ten zaś coraz energiczniej oddegnywa się od takich zwolenników. Z tego powodu powstrzymał on nowe wydanie swojej książki od lat 12—15 i zabronił przekładów. Nie wiele jednak wskórał. Właśnie przed kilku miesiącami prasa angielska była widownią nader ciekawego zajścia, kiedy z jednej strony warstwy najmickie zastosowały do dzisiejszej chwili rozumowania *Statyki społecznej*, z drugiej zaś mieszczaństwo angielskie napadło za to na Spencera, i ten znalazł się pomiędzy dwoma ogniami. Polemika toczyła się kilka tygodni w łamach *Timesa* i zasługuje bezwzględnie na bliższą lubo nieco spóźnioną wzmiankę\*). Najmicka organizacja wyborcza w Newcastle wysłała niejakiego Laidlera, murarza do Morleya, miejscowego posła do parlamentu, ażeby wypowiedzieć przed nim swoje życzenia. W rozmowie poruszono sprawę gruntową. Laidler dowodził, że ziemia winna należeć do narodu, przyczem powoływał się na Spencera i jego odezwanie się, że „usprawiedliwiać jedno bezprawie—to znaczy popełnić drugie“, i na tej zasadzie żądał wywłaszczenia landlordów, którzy do swoich majątków doszli gwałtem i oszustwem. Zgorszony Morley nacjonalizację rozbojem nazwał i w *Timesie* oskarżył Laidlera wraz z jego teoretycznym rodzicem, Spencerem. Naturalnie, ten ostatni pośpieszył czempredziej z oczyszczeniem się od podobnego ojcostwa. Przede wszystkim zauważa on, że od lat wielu nie po-

\*) Czerpiemy z *Popular Science*. Spór toczył się w listopadzie 1889.

zwala na sprzedaż *Statyki*, aby nie szerzył tego rodzaju zapatrywań i chociaż w ogólnych zarysach pozostał przy dawnych założeniach, porzucił jednakże niektóre wypływające ztąd wnioski praktyczne. Zresztą, pisząc wspomniane dzieło, miał na widoku „bezwzględną etykę polityczną“, lecz nigdy „względnej“, tj. możliwej do urzeczywistnienia w najbliższym czasie. Dowodził, że jedynie wystarczającą zasadą etyczną stosunku do ziemi jest wolna umowa pomiędzy ogółem a jednostką, nie mniemał jednak, aby ktoś zrobił już dzisiaj z tego sprawę praktyczną. Przypomina, że w *Urządzeniach politycznych* poruszył tę kwestyę, lecz narodowe władanie przedstawił jedynie jako coś możliwego, usuwając dawną swoją stanowczość. Wreszcie przytacza przeciw unarodowieniu gruntów zarzuty ekonomiczne i potępią wszystkie tego rodzaju dążności. Słowem, oddegnywa się od przyjaciół w rodzaju Laidlera.

Naturalnie, wyjaśnienie to nikogo nie zadowoliło. Mieszczaństwo angielskie w samem tłumaczeniu się znalazło mnóstwo niebezpiecznych dla siebie punktów. Wszak tutaj uznano „bezwzględną moralność“ w narodowym posiadaniu gruntów, które potępiono jedynie z powodów praktycznych; nadto powtórzono, że oszustwo i rozbój są rodzicami prywatnej własności. Słowem, najwyższa powaga filozoficzna kraju poddaje w wątpliwość, chociaż wiele warunków, jeden z filarów porządku publicznego! Wprawdzie Spencer z jednej strony usiłuje odczepić się od niepożądanych rzeczników, z drugiej utrzymuje swoje dawne teoretyczne założenia. W *Timesie* ukazuje się szereg listów ze strony oburzonego mieszczaństwa. Niejaki Greenwood pośpiesza z zaznaczeniem, jaką to ciężką, lecz dobrą naukę otrzymali panowie, pozwalający sobie filozofować nad zagadnieniami społecznymi. Wszak epoka dzisiejsza, to czasy masowej oświaty i ogólnospołecznego niepokoju, a tymczasem filozofowie, niepomni, że ich książkę czytać będą nie tylko umysły poważne, lecz też tysiące warcholów, poruszają kwestyę najdrażliwszą. Dobrze Spencerowi, niech nie igra z ogniem! Następuje potem szereg zarzutów a raczej wyrzutów za wprowadzenie owej bezwzględnej etyki politycznej, która szubrawcom daje jedynie oręż

panicz przyszedł do ogrodu, kiedy on jabłka obierał, że mu na złość robił, a kiedy on jabłkiem nań rzucił, drabiną mu zachwiał tak, że on z wysokości może drugiego piętra na ziemię zleciał. Nic mu się nie stało, bo spadając o gałąź surdutu, szczęście, że nie ciałem, zawadził, więc sobie ino przydzwiewę potargał. Ale zaraz w tym strachu i w tej złości tak panicza zbił, że się ten aż skrwawił i na ziemię bez duszy legł. Co się dalej stało, nie wiedział i tał się, a dopiero gdy usłyszał, że panicza szukają, znowu ze strachem do innych się przyłączył i najgorliwiej go szukał.

Stajenny to, co usłyszał, pod sekretem powtórzył kucharzowi, i tak dalej, aż doszło do pana. Zaczęły się dochodzenia, badania, ale równocześnie z niemi rozeszła się wieść, że przed kilku dniami, o świcie, we wsi może cztery do pięciu mil odległej, nieduży chłopiec na żyda modlącego się przed karczmą rzucił się z nożem. Pokaleczył go, ale ludzie z pomocą nadbiegli, a i żandarm się najawił i okutego rabusia do powiatu odstawił. Ludzie domyslni, jak zwykle, w rabusiu owym zaraz domyslili się Kazia.

I tę wieść jeszcze ciepłą doniesiono do uszu pana. Stary Nagolewski rozsierdził się okropnie, nafukał, ale z tem wszystkiem pojechał na wywiad.

W powiecie znajomych pan Nagolewski miał dużo. Ogródkami obchodząc, zażywając ludzi z manki, rozpytywał się o tę sprawę. I samego pana naczelnika od sądu w knajpce złapał i przy fłaszce usadowił. Pewnego nie się wprawdzie nie dowiedział,

ale powiedziano mu, że to nie był zwykły rozbójnik, tylko waryat, który na żadne pytania nie odpowiadał, a na wszystkich chciał się rzucić, którego też dlatego zaraz do Lwowa, do szpitala obłąkanych pod obserwację posłano. Dalej, że to był mały chłopak, którego rysopis najdokładniej zgadzał się z rysopisem Kazia.

Markotny bardzo, wracał starzec. W domu z żoną popłakali się oboje, że im przyszło takiego wnuka się dochować, i zaraz nazajutrz napisali do Lwowa do bratanka, który tam na synekurze siedział przy jakimś narodowym banku, aby się w szpitalu rozpytał.

Wkrótce nadeszła odpowiedź:

„Droży Stryjostwo! *Ma chère femme* zmartwiła się bardzo odebrawszy list kochanych Stryjostwa, a ja poszedłem prawie natychmiast do jednego, znajomego mi, bardzo sławnego doktora, by mi ułatwić *exploration de cette question*.

Przyjął mię jak zawsze z serdecznością bardzo wielką i oznaczył czas, kiedy pojedziemy do Kulparkowa. *Vous savez*, tam jest szpital *pour les folles*.

Pojechaliśmy wieczorkiem i byliśmy u dyrektora szpitalu, który nas też bardzo serdecznie, prawdziwie po przyjacielsku przyjął, bo to jest, jak się później dowiedziałem, także *une des mes connaissances*, et surtout przez wzgląd dla mojego doktora, przyjaciela i cicerone.

Dowiedzieliśmy się potem, że rzeczywiście syn *de ce pauvre Charles* tu się znajduje. *C'est un grand malheur*.

Kiedy go przywieźli, przyszedł na chwilę do przytomności, i powiedział jak się nazywa, skąd jest i gdzie był. Zawiadomienie z urzędu przyjdzie do drogich Stryjostwa.

Tylko o tem, co się działo *de ce moment*, kiedy go jakiś ogrodnik uderzył, nie nie wiedział. *Malheureux* nie wiedział też, skąd się wziął w szpitalu.

*Mais maintenant* miewa znowu drgawki i mało kiedy jest przytomny. Doktorzy orzekli, że choćby żył dłużej, to pewnie ogłupieje.

*Mon Dieu! que faire ce pauvre Charles!* Powiedzieli mi też, jak się nazywa taka choroba: *furia postepileptica*.

A kiedyśmy wracali do Lwowa ze Stasiem, *j'ai déjà écrit*, że pojechałem tam z mym dobrym przyjacielem, bardzo uczonym i wziętym lekarzem — opowiedziałem mu przez drogę dzieje *de ce malheureux enfant*, et il m'a dit, że to już także była choroba: *petit mal*. I jakaś druga angielska: *moral insanity*. Że *les scrofules*, jakie miał, przyczyniły się pewnie dużo do rozwinięcia tych chorób. *Mon Dieu! quel malheur, quel grand malheur!*

*Ce pendant* ja i *ma femme* ściskamy kochanym Stryjostwu nóżki i rączusie całujemy, zawsze gorąco przywiązani.

*Je vous salue*

Bronislas Policarp de Nagolewski.“



do ręki. Kto inny, Mallet, w swoim liście przypomina Spencerowi, że poglądy *Statyki społecznej* powtórzył w późniejszym dziele i zauważa, że ustęp ten był dla czcicieli wielkiego filozofa istotną niespodzianką i przykrością. I znowu denuncyją bezwzględną etykę polityczną. Wreszcie ukazuje się list Huxleya. I ten równie napada na ową „etykę bezwzględną“ i przeciwstawia jej „zdrowy rozsądek społeczny.“ Zauważa on, że największym nieszczęściem chwili obecnej jest usprawiedliwianie dzisiejszych dążeń rewolucyjnych względami filozoficznymi i archeologicznymi. Chęć wywłaszczyć dzisiejszych landlordów, ponieważ towarzysze Wilhelma I użyli gwałtu! Zdrowy rozsądek społeczny wykazałby, że każdy kawałek ziemi był wiele razy nabyty i sprzedany za uczciwie zarobione pieniądze.

W całym tym ataku mniej chodzi o zbiecie wywodów Spencera, a nawet tego nikt nie próbował, lecz głównie o wykazanie niebezpieczeństwa podobnych teorii i stanowisk dla istniejącego porządku rzeczy. Zamiast krytyki czyniono wyrzuty, że Spencer wydrukował coś podobnego. Laidler dodał jeszcze oliwy do ognia listem otwartym, w którym wypowiada swoje zdumienie, że Spencer wyrzeka się tak głośno broniących niegdyś twierdzeń i prosi go, aby wskazał jasno, jakie to wnioski porzucił mimo zatrzymania samych założeń. Obiecuje, że wtedy postara się go zbić jego własnymi argumentami. Ubolewa, że myśliciel ten nie pozwala partii najmniejszej na przedrukowanie odpowiednich ustępów ze *Statyki*, jako przewybornej broszury agitacyjnej. Cóż mówi na to wszystko sam Spencer? Pomiśsza on w *Timesie* list nader niewyraźnej treści, w którym uwzględnia jedynie napasę Huxleya. Lecz i tutaj ani słówkiem nie potrąca o główne zagadnienie; jedynie podnosi kwestię filozoficzną i zupełnie obojętną, mianowicie, czy można dać jakąś bezwzględną etykę polityczną, i wykazuje, że trzymanie się samych wskazówek prostego rozsądku może zaprowadzić na manowce. O sprawie własności ziemskiej zupełnie milczy w tej odpowiedzi. List Spencera, wymijający umyślnie najważniejsze pytanie, znowu wywołuje nową powódź. Huxley występuje z zarzutem, że Spencer nie odpowiedział na pytanie zasadnicze, z kim trzyma, czy z ludźmi w rodzaju Laidlera, czy też jest odmiennego zdania i, jeśli jest, to w jakich punktach. Biolog ten poświęca wiele miejsca wykazaniu, że stanowisko Spencera w gruncie rzeczy jest to samo, co niegdyś Rousseau'a a obecnie Laidlera i znowu podkreśla niebezpieczeństwo takiej filozofii społecznej. Zjawia się nowy współzawodnik, Auberton Herbert, który z radością oświadcza, że Spencer już nieco porzucił swoje dawne stanowisko, przyczem usiłuje zbić „logicznie“ unarodowienie. Greenwood w dalszym ciągu denuncjuje dwuznaczność Spencera i jego twierdzenie, że „usprawiedliwiać jedno bezprawie, znaczy to popełniać drugie.“ Niejaki Wilson doprowadza założenia filozofa do absurdu, mianowicie, że grunta angielskie winnyby, jego zdaniem, należeć do całego rodu ludzkiego. Huxley występuje przeciw Laidlerowi...

Nie streszczamy szczegółowo zarzutów i rozumowań, zaznaczamy jedynie samo jądro polemiki. Bo chodzi nam o wskazanie stosunku partii społecznych do twierdzeń naukowych. Poglądy Spencera odnośnie do ziemi wypowiedziane zostały przed laty 40 i nikogo nie raziły. Nic nie przeszkadzało mieszczaństwu widzieć w nich ostateczny wyraz swojej filozofii społecznej z różnymi prawami naturalnymi. Wprawdzie wnioski z tych założeń nawskróś indywidualistycznych prowadziły do konieczności unarodowienia gruntów (lecz nie zrzeszenia produkcji!), ale ponieważ nikt o to nie dopominał się, nie zwracano na to uwagi. Jednakże z czasem wypływają prądy, które

chwytają za ten oręż teoretyczny. I oto mieszczaństwo występuje przeciw Spencerowi, lecz wcale nie usiłuje zwalczać niesłuszności jego założeń — nie, o tem ani myśli, tylko wymyśla swemu filozofowi, że był na tyle niezręczny i wysunął takie kwestye. Nie pyta, czy on posiada logiczną słuszność, ale wprost daje do zrozumienia, że podobne zapatrywania, chociażby były najlogiczniejsze, winny być niewypowiadane. Zaiste, stanowisko nader charakterystyczne. I kiedy Spencer zamilkł, inne pisma (np. *Popular Science*) zaczęły przebąkiwać o niemości fizycznej tego myśliciela, niepozwalającej mu dać wystarczającej odpłaty warchołom w rodzaju Laidlera.

Zresztą cała polemika odbywała się na gruncie właściwym filozofii społecznej przeszłego wieku. Rozstrzygano w imię bezwzględnej etyki i bezwzględnej logiki, lecz nie zapytano o warunki rozwojowo-historyczne dzisiejszej chwili. Jedynie Huxley zajął to stanowisko, aby zbić teoretyczne założenia Spencera. Nie przeczuwał, że właśnie z tego punktu widzenia można wydać najsurowszy wyrok na własność prywatną. Szkoda że, zamiast uwikłanego w metafizyce społecznej Laidlera nie znalazł przeciwnika, rozpatrującego ziemską własność z takiego punktu, o ile jej istnienie zgadza się z dalszym postępowym rozwojem techniki rolnej i dobrobytu społecznego.

K. R. Żywicki.

## BADANIA NAUKOWE.

### NEORITTERYANIZM W GEOGRAFII.

Idea geograficzna Rittera, to jest idea związku między człowiekiem i przyrodą, zaniechana nieco w Niemczech z powodu wskazanego przez Peschla fizycznego kierunku w geografii, znalazła natomiast naśladowców, a po części i kontynuatorów pomiędzy uczonymi francuskimi, jak np. Elizeusz Reclus. Do tego samego kierunku należał świeżo zmarły jego przyjaciel i współpracownik, Leon Miecznikow, profesor w Neuchatel, którego poglądy na tę kwestyę znajdujemy w pośmiertnym dziele: *La civilisation et les grands fleuves historiques* (1889) opatrzonym przedmową Reclusa.

Praca ta, jak jej tytuł wskazuje, ma na celu wykazać wpływ wielkich rzek na rozwój cywilizacji, w początkowych jednak rozdziałach rozbiera autor z ogólnego stanowiska ideę zależności człowieka od przyrody i przyznaje za czynnik geograficzny przewagę nad czynnikiem dziedziczności. Wobec dość powszechnie panującego w etnologii zapatrywania wprost przeciwnego, kwestya ta ma szczególniejszy interes dla geografa, posłuchajmy więc dowodzeń Miecznikowa.

Dla wyjaśnienia tak różniących się od siebie ról, jakie różne narody odgrywały i odgrywają na arenie historii, współczesna nauka nie może powoływać na pomoc przypadku lub opatrności, lecz przedstawia nam dwie teorie. Jedna, *etnologiczna* przypisuje różnice cywilizacyjne różnym zdolnościom ras; druga, *geograficzna* szuka przyczyny w działaniu otoczenia (*milieu*). Pierwsza opiera się na zachowawczej zasadzie *dziedziczności*, druga na transformicznej zasadzie *przystosowania się do otoczenia*.

Wybitny przedstawiciel pierwszej teorii, Letourneau przemawia w te słowa:

„Istnieje hierarchia ras ludzkich... Rasa ma większy wpływ na rozwój socjologiczny niż otoczenie. Jakąkolwiek byłaby siedziba człowieka, jest on źle uposażony, jeżeli nie posiada pewnej sumy zdolności nabytych zwolna w walce o byt i przekaza-

nych przez dziedziczność. Otoczenie czyni wiele, ale nie wszystko, rasa ma większe znaczenie. Nie istniała nigdy wielka cywilizacja murzyńska. Starożytni egipcjanie byli tylko negroidami i metysami; rasy azjatyckie i berberyjskie udzieliły im swej krwi. Nigdy rasa niższa anatomicznie nie stworzyła wyższej cywilizacji. Na takiej rasie ciąży przekleństwo organiczne, którego ciężar może się zmniejszyć tylko w ciągu epok geologicznych. Otóż pod względem szlachetności organicznej rasy ludzkie bardzo się różnią między sobą: jedne są wybrane, drugie skazane na potępienie... Twierdzono (Buckle), że pierwsze cywilizacje, zasługujące na to miano, rozwijały się tam tylko, gdzie państwo roślinne dostarczało łatwego pożywienia. Jest część prawdy w tem twierdzeniu, lecz warunki otoczenia nie stanowią wszystkiego. Czyż są pod tym względem sześciuświatowe okolice, niż błogosławione wyspy Oceanii międzyzwrotnikowej? A jednak człowiek pozostał tam w stanie pierwotnym“ itd.

Na te i tym podobne zarzuty oraz teorie ras „wybranych“ i „potępionych“, przypominające w zupełności poglądy dawnych plantatorów amerykańskich, odpowiada bardzo słusznie Miecznikow, że owe zarzuty nie odnoszą się bynajmniej do teorii geograficznej wpływu otoczenia, lecz jedynie tylko do nadużyc, jakie popełniają niektórzy jej jednostronni zwolennicy, przesadzając wpływ szerokości geograficznej, a właściwie linii izotermicznych. Co zaś do ras „wybranych“ i „potępionych“, to zapytuje, w jaki sposób można odróżnić jedne od drugich: tutaj dopiero zaczyna się trudność.

Od ostatniego stulecia usiłowano często podzielić rodzaj ludzki na ściśle określone grupy. Niektóre z tych usiłowań opierały się na barwie skóry, a przecież nikt nie chciałby określać rasy psa lub konia według barwy jego sierści. Inni klasyfikują ludzi według przekroju włosów, owalnego lub okrągłego. Inni jeszcze — według kształtu czaszki szerokiego lub wydłużonego itd. itd. Próby klasyfikacji opartej na podstawie nie jakiejś mniej więcej powierzchownej cechy, lecz na całej sumie cech zasadniczych doprowadzają tylko do sprzeczności.

„Gdyby rasy ludzkie — mówił Topinard — były czyste, to dla ich klasyfikacji wystarczyłoby zesumować ich różnice i podobieństwa, wziąć w rachubę zmiany osobnicze i usterki patologiczne. Ale rzecz ma się inaczej: jednolitości brak tu zupełny; rasy zostały podzielone, rozproszone, mieszczone, skrzyżowane we wszystkich proporcjach, we wszystkich kierunkach podczas tysięcy wieków; wiele z nich zmieniło swój język na język zwycięzców, następnie porzuciło go dla trzeciego, jeżeli nie czwartego; zamiast ras wystąpiły narody, które trzeba klasyfikować i początku ich dochodzić. Jedynie tylko wyjątkowo wśród ludów odosobnionych, jak eskimowie z Grenlandyi lub tasmanczycy wyspy Van Diemena klasyfikacja rodzaju ludzkiego ma jeszcze jakiś sens. Ale po za tymi wyjątkami pozostaje jedynie etnograficzny punkt widzenia, wyrazem *rasa* posługujemy się w najniewłaściwszym znaczeniu. Mówimy np. o rasie indo-germańskiej, łacińskiej, niemieckiej, angielskiej, słowiańskiej, jak gdyby w nazwach tych tkwiło coś więcej nad pojęcia polityczne, nad przypadkowy zlepek najrozmaitszych pierwiastków antropologicznych. Klasyfikacja rodu ludzkiego wtedy tylko mogłaby być naprawdę przeprowadzona, gdyby poznano elementy, składające się z dzisiejsze ludy.“

Ponieważ w historii cywilizacji nie mamy nigdy do czynienia z „ludami odosobnionymi, jak eskimowie lub tasmanczycy“, więc trzeba przyznać wraz z Topinardem, że wszystkie antropologiczne klasyfikacje rodu ludzkiego nie mają znaczenia, szczególnież w walce o byt i przekaza-



storycznej. Co do klasyfikacji lingwistycznej, to ta przedstawia rzeczywiście więcej jednolitości logicznej i ścisłości, ale posiada tylko wartość względną: jest ona mianowicie bardzo użyteczna, gdy chodzi o usystematyzowanie naszych studyów językowych i etnograficznych, ale nie może rzucić żadnego światła na zagadnienia socjologiczne i historyczne. Gdybyśmy się opierali na hierarchii lingwistycznej, to musielibyśmy zaliczyć chińczyków i inne ludy Azji wschodniej, mówiące językami jednozgłoskowymi, do najniższej kategorii „potępionych”. Przeciwnie, tacy zulowie, beczuani i wogóle ludy Afryki południowej, które używają narzecza *bantu*, tak dźwięcznego i giętkiego, tak zdolnego do wyrażenia najsubtelniejszych odcieni uczuć i myśli, miałyby zupełnie prawo figurowania wśród ras „wybranych.”

Letourneau wprawdzie doskonale pojmuję rozpaczliwy stan klasyfikacji antropologicznej i niedostateczność lingwistycznej, sądzi jednak, iż znalazł zbawienie, traktując tę trudną kwestję z wysokości punktu widzenia czysto historycznego i socjologicznego. Dla „wybrania” i „potępienia” wystarcza mu podział ludzkości na trzy grupy, charakteryzujące się po części przez mniej lub więcej ciemną barwę skóry, po części przez cechy anatomiczne, a przede wszystkim przez swe ustosunkowanie do cywilizacji i historii:

1-o. Rasa czarna przez dziedziczność niezdolna bez zmieszania się z wyższą do stworzenia cywilizacji.

2-o. Rasa żółta, mongolska lub mongołowa, wyższa od poprzedniej, zdolna po części do wyższej cywilizacji (Chiny, Meksyk, Peru).

3-o. Rasa biała wreszcie, która „wzniosła się o kilka stopni wyżej w hierarchii organicznej. Mózg jej powiększył się, czoło rozszerzyło i wyprostowało, szczęki zmniejszyły się; niema w tej grupie prognatyzmu i grubych warg.” Rasa ta przez dziedziczność posiada zdolność do tworzenia cywilizacji wyższych i trwałych.

Powyższa klasyfikacja ma rzeczywiście za sobą nadzwyczajną prostotę, ale na nieść szczęście konstatuje ona jedynie fakty, i to nie zawsze zupełnie ściśle, lecz nie daje bynajmniej ich wyjaśnienia.

Większość ludów, które grały lub grają pierwsze role w dziejach powszechnych, zaliczana bywa rzeczywiście do jednej z galezi (semickiej lub aryjskiej) rasy białej. Takimi są lub byli aryowie Pendżabu, irańczycy, asyro-babilończycy (w części), fenicyjanie, helenowie, Italowie, galowie, germanie i ludy cywilizowane Europy średniowiecznej i dzisiejszej z wyjątkiem basków i, być może, finnów oraz węgrov.

Nie zapominajmy jednak, że grupa aryjska, najlepiej bezwątpienia zbadana ze wszystkich galezi rodu ludzkiego, nie przedstawia jednolitości, która dałaby się naukowo wykazać, wyjąwszy jedynie wzgląd lingwistyczny. Zaczawszy od bramińskich hindów, a skończywszy na dolichocefalicznych blondynach Niemiec północnych, napotyamy w tej galezi nieskończone odmiany w kolorze skóry, włosów i oczów, w kształcie czaszki i w innych cechach antropologicznych. A ileż to ludów, należących do tej grupy, nie odznaczyło się więcej na polu historii, niż najczarniejsi murzyni Gwinei, niż rasy najbardziej „potępione” Afryki środkowej! Afganie uważają się nie bez racji etnologicznej za bliższych krewnych narodu angielskiego, a jednak jakże niepodobne są losy historyczne obu tych narodów! Lud najbardziej oporny wszelkiej cywilizacji, beduini, którzy, mimo wielokrotnego stykania się z najwyżej rozwiniętymi cywilizacjami, pozostali do dziś na tym stopniu, na jakim stali za czasów faraonów, należą przecież do semitów i to czystszych, niż ich współbracia z Mezopotamii, którzy jednak stworzyli świetną cywilizację asyro-babilońską, a później cy-

wilizację kalifów. A więc możnaby powiedzieć: aryowie i semici o cerze mniej lub więcej białej są pośród różnych grup ludzkości jedynymi, które przy pewnych warunkach stworzyły najpotężniejsze państwa z trwałymi cywilizacjami. Ale ponieważ przy innych warunkach ludy tej samej rasy miały zupełnie inne losy historyczne, więc widocznie, że środek ciężkości w danej kwestyi nie leży w zdolnościach rasy, lecz w tych warunkach nieokreślonych.

Podobnie rzecz się ma z drugą grupą Letourneau’a z człowiekiem żółtym, mongolskim lub mongołowym. Ze wszystkich ludów starego świata, które ten autor połączył pod tą rubryką, jedni tylko chińczycy zajmują miejsce honorowe w historii rodu ludzkiego; wiadomo jednak, że tak przez swój język, jak i przez wygląd fizyczny różnią się oni znacznie od innych narodów mongolskich. Co zaś do państwa czysto mongolskiego, Dżengischan i jego następców, to posiada ono wprawdzie wielką sławę w historii, ale jest to sława Herostrata; nie można więc stawiać tego państwa wyżej od niektórych państw murzyńskich, przedewszystkiem od tego tajemniczego, po którym pozostały godne uwagi ruiny Zimbabwy.

Z narodów starego świata, oznaczonych etykietą „rasa żółta,” pozostaje nam jeszcze wspomnieć Turków-osmanów. Ci zapisali rzeczywiście swe imię na kartach historii, ale nigdy jako założyciele cywilizacji: często porównywano ich rolę do roli szakali i ptaków drapieżnych, które zajmują miejsce policyi w miastach muzułmańskich, pożerając nieuprzątaną padlinę; podobieństwo to nie jest jednak zupełnie dokładne, jeżeli bowiem Turcy opanowali zwłoki cywilizacji bizantyjskiej i Kalifatu, to nie zajmowali się bynajmniej trupem, pozwalali na swobodny jego rozkład. A jednakże ci Turcy-osmanie, podobnie jak tatarzy krymscy, tylko językiem należą do rodziny uralo-altajskiej; antropologicznie zaś mówiąc, są oni *uszlachetnieni*, spokrewnili się bowiem z rasą białą przez wiekowe zapatrywanie swych haremów kobietami porwanymi lub kupowanymi w Grecyi, krajach dunajskich, w Polsce, Ukrainie, na Kaukazie i Armenii.

(D. n.).

W. Nalkowski.

## LITERATURA I SZTUKA.

### WIDOWISKA W OBERAMMERGAU.

20 czerwca.

Słynne przedstawienia pasyjne, odbywające się co lat dziesięć w zacisznej wiosce bawarskiej, ściągają tego roku większe jeszcze tłumy ciekawych, niż w r. 1880. Widowiska te datują się od r. 1633; powstały one wskutek ślubu, uczynionego przez mieszkańców Oberammergau w czasie zarazy, a potem wpłynęły na kierunek i charakter ludności, nadając jej cechy oryginalne. Cała wioszczyna otoczona jest dziwnym tehem tradycyi pobożnej. Na lśniących, białych ścianach jej domków przytwierdzone są drewniane i blaszane tarcze, ozdobione malowidłami kościelnymi w stylu XVII stulecia. Po nad wioską wznoszą się grzbieity gór, a na szczycie najwyższej z nich jaśnieje wielki krzyż drewniany, obity kruszczem. I włościanie sami wielce się różnią od ludności okolicznej. Nie mają oni wogóle właściwego typu chłopskiego; zajęciem ich jest przemysł artystyczny, znają ich po całych Niemczech jako „Herrgottschnitzer,” a zajęcie to wraz z „nabożnem komediantwem” nadało im pewną miękkość, powagę i nabożność. Uderza zwłaszcza Chrystusowy układ włosów, spływających gładko

na ramiona po obu skroniach, u tych ludzi, ubranych w kurtki gospodarskie, skórzane spodnie i bawełniane pończochy.

Oberammergau liczy do 1,200 mieszkańców, w pantominach zaś bierze udział 697, większa część mieszkańców zajęta tedy jest studyowaniem ról. Rada teatralna, złożona z trzydziestu osób, czyni przygotowania przez lat dziesięć i w toku prób nieraz zmienia obsadę. *Tout comme chez nous*, wytwarza to często starcia wśród ludności, istnieje bowiem w Oberammergau pewna duma, oparta na monopolu odtwarzania pewnych ról, do których mieszkańcy z latami dochodzą: dziecko, które na rękach matki wystąpiło na scenie jako dziecko rzymskie, po latach ma pretensję grania żołnierza.

Budowle, w których widowiska się odbywają, pierwotnie były nader skromne. Edward Devrient, które je zwiedzał w r. 1850, opowiada, że wiejski nauczyciel rysunków, Pflunger, który grywał Chrystusa, ozdobił szczyt sceny kolosalnymi postaciami wiary, miłości i nadziei; dekoracje były bezstylowe, barwy pstre, przeważnie jasno zielone i różowe nadawały teatrowi niemal cechę budy jarmacznej. Atoli wówczas już szerokość sceny wynosiła 60 stóp, a sam obraz, przedstawiający plac między domem Piłata i Ananiasza i ujściu kilku ulic jerozolimskich, mimo swej pierwotności, silnie działać miał na wyobraźnię. Z czasem wystawiono teatr okazalszy; w r. 1870 kosztą jego wynosiły już 40,000 marek, dziś wzrosły jeszcze znacznie, aczkolwiek i obecnie zbudowano go z drzewa. Obejmuje on tego roku 4,000 widzów. Atoli nie oberammergauczycy urządzali dziś scenę; dopomogły im Wiedeń i Monachium, a miejsce nauczyciela Pflungera zajęli Lautenschläger i Burghardt. Scena, o szerokości 42 m., o głębokości 26 m., posiada dwie dekoracje o nie-nagannej czystości stylu. Tworzą one w głębi półkole okazałe: w środku widzimy świątynię grecką, obok na prawo i na lewo łuki przesklepiające ulice, które ciągną się długą perspektywą, zamkniętą błękitem nieba bawarskiego i zielenią polan górskich, z tyłu do rozwartego teatru zagładających. Dalej, niejako narożne ulice tych domy, wznoszą się pałace Piłata i Kaifasza. Każdej z tych części sceny użyć można jako miejsca dla osobnego widowiska, tak iż ona przedstawiać może równocześnie ośm obrazów, składających się na całość imponującą. Kurtyna jest tu zbyt czarna, gdyż widowi k pasyjnych nie podzielono na akty. Głębiejeno zakrywa zasłona, ozdobiona podobizną Mojżesza, Michała Anioła oraz postaciami Izajasza i Jeremiasza; rozwiera się ona w ten sposób, że górną połowę podciągają, dolna zaś zapada się.

Lautenschläger jest autorem nowych scenariuszów do utworów Shakespeare’a, oparty na tendencji powrotu do pierwotnej prostoty wystawy. On i podobni jemu przyjaciele sceny pielgrzymują do Oberammergau, aby podpatrzeć zwykłe a dzielne środki, którymi wiejscy reżyserowie wywołują olbrzymie efekty w boskim swym dramacie. I bez wątpienia teatr ten będzie główną podstawą dla reformy, dążącej do uproszczenia aparatu scenicznego. Na odwrót Oberammergauczycy uparcie dążą do zbudowania olbrzymiej sceny żelaznej; projektują oni budynek w stylu romańskim o wielkich oknach, otwierających się ku górze. Ambitni włościanie przeocząją, że mieszczenie, nadpływający dziś do nich tłumami, niezawodnie przestaną wybierać się do Oberammergau, skoro ujrzą tam je-ną kopię tego, co mają u siebie w wydaniu doskonałszem. O treści widowisk i ich stronie aktorskiej doniesiemy w liście następnym.

Ladawa.



## LITERATURA POLSKA.

Rapacki Wincenty: *Hanza*. Powieść z XV wieku. Warszawa, 1890.

— *Trefniś*. Nowele, obrazy i szkice. Warszawa, 1890.

Udajmy się za autorem. Oto jesteśmy w wieku XV, w czasach Jagielly i bitwy pod Grunwaldem. Jestto początek tryumfu oręża polskiego w walce z krzyżactwem i schyłek przewagi nad handlem spolszczonych mieszczan—Hanzy. Wątek powieści snuje się na tle walki kupiectwa krakowskiego z potężną średniowieczną korporacją handlową—Hanzą, i wyjęty został przez autora ze starych akt grodzkich, zpośród licznej rzeszy podobnych epizodów. Wiadomo, czem była Hanza w średnich wiekach: organizacją międzynarodowej wymiany towarowej w Europie środkowo-północnej, przykrojoną do ducha czasu. Ludzie, składający ją, podlegali surowej regule klasztorno-wojskowej. Ssawki swego pośrednictwa zapuszczała ona równie w grunt rodzimy, niemiecki, jak i obcoplemienny—słowiański. Nad życiem Krakowa i Nowogrodu ciążyła: wprawa, doświadczenie kupieckie i wogóle wyższość kulturowa hanzeatów Bremy i Lubeki. Filia ich gnieździła się u nas w Krakowie, w Sukiennicach, gdzie stanowiła rodzaj państwa samodzielnego sądowniezo i wojskowo—w państwie. Jak każdy monopol dzisiejszych czasów, tak i hanzeatycki z w. XV dolegać musiał aspirantom tego samego zawodu. Bez walki nie mogło się obejść, gdy zaś zważymy, że sprawcami dolegliwości byli przybysze obcej krwi a pyszni z tryumfów, walka musiała być zażartą. Ale czterysta lat temu nieznaną była teoria duszy rasowej, owoc apoteozy plemiennej naszych czasów, i walka wzbogaconych kupców krajowych, Wierzyneków z Oldermanami Hanzy—toczyła się bez obsłonek obłudnych. Nieznane było w XV stuleciu hasło: „Popierajmy przemysł i handel krajowy!“. Dopiero potrzeba było doktryn, uwitych z przesądów rasowych, pruskich komisji kolonizacyjnych, masowych banicji Bismarka, przemysłu rękami niemieckimi szczepionego, Łodzi i Sosnowia, „Drang nach Osten“, ażeby serce rozżalone poszukiwało w przeszłości odległej takich samych żywiołów sytuacji, kształtowało z nich obraz na wzór i podobieństwo—teraźniejszości. Wroga, który nam dużo cierpień zadał, prędko podnosimy do godności zjadliwej i przewrotnej zmił, siebie zaś samych mieścimy w rzędzie gołąbków niewinnych. Wróg jest przekletem naszym zbrodni, my zaś chodzącym przybytkiem cnot wszelakich.

Otóż p. Rapacki, jako pisarz takiego otoczenia i takiej atmosfery duchowej, nie winien temu, że członkowie filii Hanzy niemieckiej w Krakowie uginają się w jego powieści pod brzmieniem zbrodni przerozmaitych, gdy tymczasem kupcy swojskiej gliny są oskrzydleni takim doborem czynów szlachetnych, że tylko czekają, aż św. Piotr da sygnał wstępu do nieba... Nie myślę przez to folgować barkom kupców niemieckich. Kronika z XV w. mogła zanotować takie fakty, jak fałszerstwo talarów, dokonywane przez Justusa Knabów i jego towarzyszy współplemiennych, intrygi Oldermana Bonara względem cnotliwego Wierzyńka, morderstwo księcia oświęcimskiego, dostarczanie nieznanego w kraju prochu dla króla węgierskiego przeciw Polsce i wreszcie strzelanie z przechowywanej w tajemnicy armaty do mieszczanstwa krakowskiego; ale nagromadzenie w obrazie tyłu barw czarnych na grupie hanzeatów, a jasnych na Ziembach, Wierzyńkach itp. to, przepraszam szanownego autora, dorebnek naszych czasów.

Powieść jednak p. R. napisana jest żywo i przez miłośników obrazów history-

cznych przeczytana być może z zajęciem. Osia jej, wprawioną w przewrotne praktyki Hanzy, jest naturalnie dramat miłosno-rodzinny. Olderman Hanzy, Rheinhold von Bonar, swojego czasu uwiódł Agatę, córkę Ziembę, mieszczanina z Kleparza, i przez to stał się ojcem syna, Rudolfa, którego malcem jeszcze posłał nad Ren, do Kolonii, żeby tam mu wyjęto „duszę polską“, a natomiast włożono—hanzeaty-niemca.“ Agata wyszła dla uratowania czci za kuternogę, Justasa Knabego, łotra z pod ciemnej gwiazdy, Bonar zaś ani dla niej, ani dla syna nie stracił serca; przeciwnie, tem goręcej ono mu ku nim pałało, im głębiej wobec rygoru i kontroli korporacji musiał ukrywać się z uczuciem kochanka i ojca. Oto przez las żywiecki, przez włość Przemysław, księcia na Oświęcimie i Cieszynie, wlece się kompania kołońska z towarami dla Hanzy krakowskiej i synem dla jej kierownika Bonara. Kompanię w drodze, pomimo układów starego księcia, rozbija młody, za co niebawem pada od mściwej strzały nasadzonego przez Bonara mordercy. Rudolf zaś wraca tylko w szatach hanzeatów, lecz z nieuszkodzoną duszą polską pod niemi. Z dniem każdym rosnąc w uczuciu narodowym, zawodzi srodze nadzieje Hanzy i ojca, wyłamuje się z reguł, brata się z mieszczanstwem polskim i nie wie, nie wiedząc, że dymisja dana mu przez Hanzę jest czasową, wbrew srogim jej przepisom żeni się z córką Wierzyńka. Uczta weselna jest wysoce uroczystą chwilą: stryj panny młodej kosztem wykrycia jaskini fałszerzy pieniędzy wyjednywa u Hanzy, że jak dla własnych celów ściągnęła na jego głowę klątwę kościoła, tak znow za swoim wpływem zdejmuje ją z niego i wraca światu, stary zaś Ziembra przyjmuje do siebie matkę Rudolfa, którą był wykłął za związek z Niemcem. Ale szczęście w zawiezi ginie, Hanza podstępnie z orszaku weselnego uprowadza do Sukiennic Rudolfa i tam, wobec kochającego ojca, spełnia nad nim wyrok śmierci. Odtąd dumny Bonar, który długo interesowi korporacji pozwalał deptać swoje serce, podstępnie stracony z zajmowanego stanowiska, stokrotnie upokorzony, wypowiada bunt tyrańskiej Hanzie, przypomina sobie, że daremnie rzucił jej pod nogi najlepszą część duszy i zapomniiał o prawach człowieka. Nie wraca już do niej, lecz żeni się z Agatą, wsiąka w mieszczanstwo krakowskie, rozmnaża swój gatunek i staje się protoplastą bogatego i sławnego rodu Bonarów—polskich... A tłem wymownem tego wszystkiego jest goniec przybyszający z pod Grunwaldu obwieścić zwycięstwo.

Jedną cechę powieści p. Rapackiego należy podnieść. Serce jego nasycone goryczą i wstrętem w dzisiejszych warunkach do Niemców, z upodobaniem poszukuje w przeszłości pokrewnej karmi dla duszy, chciwie zgarnia przewinienia niecierpianego żywiołu. Typowy nasz teutonozerca bywa zwykle zażartym antysemitą. P. Rapacki niezmiernie sympatycznie przedstawia żydów krakowskich z XV w.; nie dość tego, otacza ich obronców przed prawami wyjątkowymi szczególną czcią. To nam pozwala przypuszczać, że szanowny autor o jeden wstręt plemienny jest zaszczytnie uboższy...

„Trefniś“ p. Rapackiego jest zbiór nowel, obrazków i szkiców. I tu kilka tych drobnostek, objętych ogólnym tytułem „Z dziejowego pomroku“, stanowią właściwie strzępy przeszłości, umaczone w serdecznem źródle nienawiści plemiennej lub świętego oburzenia na nieludzkosć prusaka, np. „Hundsfeld“ (Psie pole), „Zasadzka.“ Ta ostatnia jest znana wiadomością kronikarza o zasadzce krzyżaków na Jagiellę, za niedosłyż zjazd w Wielonie. W szkicu p. n. „W setną dwudziestą rocznicę“—autor zakrzwawia serce czytelnika zestawieniem dwóch okrucieństw pruskich: porwanie przez Fryderyka Wielkiego z Prus

Królewskich i Pomorza 7000 dziewcząt polskich na żony dla bohaterów wojny siedmioletniej w r. 1765 i wygnanie edyktem Bismarka z Prus 30,000 robotników polskich w r. 1885. Resztę zbioru zapełniają nowele z życia chłopskiego: „Romans Antka Grudy“, „Powaga Gminy“ i „Dwa nieszcześcia“, oraz obrazy życia aktorskiego. Te ostatnie mieszczą w sobie niejedno ciekawe spostrzeżenie i noszą cechę pamiętnika świadka naocznego.

Zyg. Piet.

## ŚMIECH I ŁZY.

(List lwowski).

Zgnilizna stosunków ekonomicznych w Galicji nadać musi i twórczości poetyckiej odpowiedni kierunek. Na piaszczystych wydmach nie wykwitają lilie poezji. Głód i upodlenie wycisnęły piętno swe nie tylko na duszy, ale nawet na twarzach naszych—czuć już w powietrzu cuchnący egoizm i zastręt godności ludzkiej. Nasi najserdeczniejsi zatykają sobie uszy watą, aby nie słyszeć jęków boleści, karmią się umyślnie w tym celu przyprawianą papką literacką; lecz nawet do tych górnych sfer dolatuje już woń stęchlizny, a wszystko, czego dotkną, rozsypuje się pod ich rękami w proch. Na takim śmieciisku krzewią się i rozrastają najswobodniej chwasty satyry. Takim satyrykiem *par excellence* jest młody poeta<sup>\*)</sup>, którego wiązanek pierwszokół—częściowo drukowanych po naszych humorystycznych i tygodniowych pismach—ocenili chcemy. Fizyognomia jego niełatwa do uchwycenia. Ma on niezaprzeczenie pewne zalety towarzyskie i wrodzony dowcip, co czyni pożądanym nabytkiem salonów koła artystyczno-literackiego, gdzie bierze żywy udział w „kwiatowych“ rautach na cześć naszych i obcych wielkości, w chwilach namaszczenia zasiada nawet do stołu uczonego Towarzystwa imienia Mickiewicza, aby np. sprowadzić zwłoki nieśmiertelnego wiejsza *cudem* na ojczyzny łono. Czas wolny od tych zajęć i od ciężkiej, krwawej pracy zawodowej — p. K. jest nauczycielem gimnazjalnym — poświęca muzom. Gdyby wierny swej zasadzie, wygłoszonej pod adresem lirycznej, rozkwilonej braci w Apolinie — aby zastąpiwszy z po za chmur, pozłacanych zachodzącym słońcem romantyzmu, przyłożyli swe uszy do matki ziemi i słuchali bicia sere bliźnich — czerpał sam natchnienie z otaczających go „kół“, byłby może zasłynął jako wielki satyryk, bo zaiste w „kołach“ jego gnieźdzą się przepyszne okazy pawłów z długimi ogonami, niepotrzeby unikających światła, indyków srodze nadymających się za okazaniem rąbka czerwonej podszewki... Niestety szczęśliwy tłumacz Arystofanesa, zapatrzonego w oblicze swych klasycznych mistrzów, nie poszedł drogą realistów. Zamiast miażdżonej satyrą moralnej i umysłowej nędzy decydujących „kół“, pożytył sobie od przyjaciela (Rodocia) trzepaczki ironii i zaczął nią z lekka muskać po wzdętych falach najogólniejszych grzechów ludzkich, a nauczył się tak zgrabnie wywijać, że nie tylko nie zadrasnął nikogo, ale owszem wielu zabawił i rozśmieszył.

Przejrzyjmy z powietrznej perspektywy dziedzinę jego twórczości. Koło satyryka toczy się najchętniej po karkach szlachetnie urodzonych, przypominając im bankrutstwo kapitałów ułokowanych na zasługach przodków, a część ta jest najśmielszą. Oto np. dziad Jasnie Oświeconego założył przed wiekiem dom podrzutków. Panicz, wnuk jego, poznaje córkę dyurnisty i pracując z nią społem... zaludnia zakład dziadowski. Szczęściem zmywa tei haniebniejsze jeszcze

\*) Konarski Franciszek: *Śmiech i łzy*, 171.



brudy „młodego pokolenia“ chwala antenatów, jak np. owa „praprababka, co fundowała klasztory dwa z kościołem“ (czy to także należy do szeregu tych wielkich czynów?). Natomiast służalstwo lizunów, bijących pokłony przed ołtarzem Jego bydlęcej Mości z Memfis, znalazło ciętą odprawę w wierszu p. n. „Apis.“ Wyobraźcie sobie byka spasionego przy złocistym żłobie, jak ogonem wywijając, ryczy, a rzesza jego wielbicieli kornie schylając czoła, zachwycą się jego tym rykiem. Po śmierci nawet, gdy wół wyciągnie kopyta, tłum czcicieli nie spocznie, lecz głowy ze smutku ogolwszy, wielbi enoty nieboszczyka. Jakkolwiek nie szczędzi poeta ciętów szlachcie, to przecież nie zawsze stanowisko, z jakiego tu wychodzi, jest właściwe. Podpatrzyliśmy je z końcowej walki „Antenatów“, którą tu odsłaniamy:

O, jabym także biegł z zachwytem  
W mych przodków czasy lepsze  
Lecz cóż? Dział dumal nad kopytem  
A papa — rzezał wleprzel

Podobnej ironii pozwala sobie poeta nie tylko względem rzemiosła, ale raz przeźrzenia nawet krwawej doli chłopów i sług. Gdy bowiem w sielance „Korale“ Grzela z miłości do swej Magdy, ukradłszy sznur paciorek, dostał się do kryminału, cieszy się z tego i z wyżyn swej ironii każe kochankom zamiatać razem ulicę... Nie mniej przykre wrażenie sprawia na nas bal „pod sroka“, gdzie „kawalery od podłogi“ wybijają hołubce z „damami od koromesła.“ Satyra p. Konarskiego lubuje się też czasem w komice niższego rzędu. Rozbijanie głów, tłuczenie luster, rzucanie stolików itp., z drugiej strony szyderstwa z otyłości, brzydoty itp. ułomności ludzkich wydzierają się wprawdzie rzadko, ale szkodzą wrażeniu całości. Czyż naprawdę po zatem byłoby już wszystko równe i proste?

W kwestyi żydowskiej należy poeta do budowniczych złotych mostów przymierza z bracią polakami wyznania mojżeszowego. Boli to go szczerze, że na każdym z pół pracy społecznej piętrzą zapory dla żydów, ządając od nich prawdziwej miłości tego kraju w zamian za to, że przed pięciuset laty nie poskąpiono im wody i powietrza; przypomina jednak, że wybrani przez Jehowę, nie siejąc, ani orząc, jak lilia biblijna, zbierają bogate plony pracy goimów, zdaje się nawet podsuwać im frymarczenie żonami i pijactwo, wady, o które ich nie posądzały ci, coby ich najchętniej widzieli w Palestynie...

Ze poeci pod koniec XIX stulecia są bardzo oględni w rzeczach religii, to nas nie dziwi... Swobodniej przykładają satyryk zwierciadło swe do stosunków małżeńskich, których zgniliznę kropi niejednokrotnie biczem sarkazmu. Niezgoda stadał wyłazi bokiem w każdej niemal satyrze. Biedny Adam traci zdrowie, znosząc cierpliwie ciągle fochy Ewy. Pan Mikołaj kończy systematycznie kursy poezji życia na tragedji z żoną. Gdy starowina niemrawieć dźwiga na łysej głowie rogi a młodzieniaszek szepce słodko do ucha jego czulej małżonki — to nas może rozśmieszyć; ale gdy Jana, krwawo pracującego na żonę i dzieci i schylającego kornie kark swój pod jarzmo pantoflowe, oszukuje niegodnie przyjaciel domu, karmiąc żonkę jego karmelkami miłości — to nas razem z poetą oburza. W trawestacji, w której zwierzały świat klasyczny z całą zbrojownią strzał mitologicznych tańczy bardzo obyczajnego zresztą kankana, każe p. Konarski złapanemu na gorącym uczynku Jowiszowi ogrzmocić dobrze zazdrosną połowicę a że „strasznej“ tej powieści ma spływać „moral ten, że na niewiaśc spazmy, gwałt nie masz jak Zeusa leki.“ Coby na to powiedział choćby austriacko-galicyski kodeks karny, bo nie wspominam nawet o zasadach etyki społecznej. Piękniejszy obrazek z życia rodzinnego daje satyra p. n.

„Szczęśliwi.“ Oto zaledwie nocne padły mroki, a już ojczulek z biura pędzi do swego pijackiego „kółka“, mateczka idzie do sąsiadki, aby przy kominku uprać z brudów pół miasta; synalek starszy w *tingel-tangu* pryska kaskadą szampana w oczy kawiarnianej diwy; córús nieletnia połyka w lot Boccaccia i *Nanę* a mały Adaś przypatruje się z zajęciem, jak dwaj dragoni zdobywają szturmem serce panny służącej. Zdaje się to oburzać poetę głównie z tego względu, że mu czynniki te rozsadzają spleśniałą dla nas foremkę rodziny. Wypisano to na standardze kwestyi kobiecej, tak oto pojętej: W salonie „kółka“ toczyła się raz rozprawa na temat „Czy słusznie by dzierżyła pióro białogłowa.“ (Pytanie samo świadczy o zasłanianiu sobie oczu). Na to odpowiada poeta „szermierkom gęsiego pióra.“ „Pióro dobre dla kobiet, lecz u kapelusza!“ Wogóle służy mu kobieta za przedmiot do mniej lub więcej dowcipnych porównań. Skromne np. dziewczę — to w jego oczach uroczą piosnką, sentymentalna panna dźwięczy tonem smętnej balady, kokietka jest wymuskany sonetem, zwiędła dewotka, z sercem upióra, bryzga satyrą, niedokrewny zaś ród guwernantek — to poemat dydaktyczny. Na wspomnienie tej ostatniej kategorii kobiet dostaje dreszczów on sam, pedagog. Kobieta przechodzi za życia różne stopnie metamorfozy. Kiedy szesnasta wiosna wieńcem z róż pierś jej przystroja, burzy się w niej miłość, jak musujące wino; gdy już przekroczy dwudziestkę, kipią w łonie jej wulkany a całus jej podobny do ognistego szampana; gdy czwarty już krzyżyk na kark jej spadnie trzeba dąć z pełnych płuc, aby rozdmuchać iskrę w popiele; kobieta podobna wówczas do ponczu, który im więcej rozgrzany, tem lepiej smakuje. Czas, ów zazdrosny tyran, miazdzący stuletnie dęby, skruszył i serce babej, lodowym tchem zmroził jej łono a całus jej smakuje jak woda selcerska. Takie zręczne zestawienia i tym podobne dowcipne igraszki słów stanowią jeden z głównych pierwiastków humoru poety.

Głębiej wnikają w stosunki społeczne satyry drugiej części, rozpoczynające się mniej więcej od wiersza „Wierni zasadzie.“ Wielec oni byli niegdyś, kuflami wino leli sobie w gardła — dziś godziny w załobie im płyną, gdy kieliszkami tylko spijają szampany. Jedno tylko wynieśli z rozbicia, że wierni dawnym hasłom... Gdy już inseratami nawet głoszą ludziska, chępiąc się, jak w bujny plon rozrasta ziarno ich rzekomych poświęceń, wyrzyna się ze zbolalej piersi satyryka życzenie: „O siebie wprzód niech każdy dba, nim drugim się poświęci.“ Gdy zdolnego i sumiennego urzędnika przekakuje w awansie niezdara, to sedno tej „zagadki galicyjskiej“ tkwi w służalstwie. Obok niego zajmuje drugie miejsce błąd. Tym talizmanem w życiu zbrojny stąpaś śmiało po grudach życia, zwłaszcza gdy frymarząc sercem i rozumem, przestrzegasz hasła „miej kieszeń i patrzaj w kieszeń.“ System wolnej konkurencji otwiera pole dla popisów istnej menażery. Tu dwaj eskulapi drą z sobą koty, ten koleżkę szalbierzem zowie, ów zaś go chrzei mianem idyoty. Tam naiwnych ról artystki dziobią się na śmierć, owdzie zaciętrzewieni literaci kompromitują się wzajemnie, skwarząc dowcipów ostatki — wszystko to posiew wolności — dodajmy ekonomicznej. Pan Jakób należy do kategorii ludzi praktycznych, goły jak turecki święty, ożenił się z tysiączkami, nie bił głową o mur, lecz podłaził tam, gdzie przeskoczyć nie mógł. W wyborców tłumie stał jak spiż nieugięty, lecz gdy mandat poczuł w dłoni, w kąt zasady a na stół — synekura w bankach. Za młodu po błękitach bujał nieba, przysięgał życie nieść w ofierze krzywdzonej czerni, dziś jako właściciel warsztatów skórę zdziera z czeładzi. Niedawno gardłował za towarzystwem, w którym przyszłość kraju dopatrywał, czemuż dziś obrzuca je błotem? Bo nie zo-

stał wybrany prezesem. Bądź mądry jak Salomon, miej głowę jak Sokrates, gdy nie masz „pleców“ za sobą, zginiesz marnie:

Dziś głowa fraszka — grunt to plecy.  
Puść (więc) w trąbę wszystkie członki  
I pleców pilnuj bracie.  
A gdy ci w synku przyrost nowy  
Chcą nieba dać przychylnie,  
Proś niech się rozdzieli bez głowy.  
Lecz „plecy“ niech ma silne.

Zapatrzonej w gwiazdę ideału do walki rwał się w życiu z hasłem: przez miłość do wolności. Za grzech bratobójstwa poczytywał korzystanie dla siebie z majątku, zaprzął się sam do pług pracy w wierze, że prawda zwycięży, lecz świat go szyderstwa smagnął biczem i przeszedł nad „idealistą“ do porządku. Jeżeli się więc dopatrzysz, matko, u syna serce, co o własnym zapomina bólu a łąą współczucia nędcę ludzką złości, jeśli duch jego orlim zrywa się lotem w górę nad fałszu odmęty i ucieleśnić pragnie życia ideały, to „smutek niech cię zdejmie szczery, bo syn twój w świecie *nie robi karyery*.“ W ostatnich słowach streszcza się gramatyka społeczna satyry. Wyszłucha on wiele istotnych wad społeczeństwa naszego, bierze pod opiekunęce skrzydła ironii wydziedziczonych i odepchniętych, ale nigdy nie może zapomnieć o „awansach“, „karyerach“ itp. W „Odzide do grosza“, który na pół ironicznie mieni kotwicą szczęścia, aniołem pokoju, geniuszem — wszystkim, zanoszą pod sam koniec prośbę dającą miarę tych jego niskich lotów. „Ludzkości całej, o mocarzu wielki, wysłuchaj pienia muzy wielbicielki, i w dom mój, gdzie się pustki rozgościły, zejdź gościu miły.“ Z olimpijskim spokojem, rzadziej jak np. w wierszu „Żywot pocziwego człowieka“ z Heinowską igraszką obnaża on ohydę wieku, lecz często wygląda tak, jak gdyby go to wszystko nie kosztowało ani kropli żółci. Zaczernie czasem z romantycznej palety Asnyka (wiersz wstępny), zapatry się w oblicze Rodocia (Biernackiego) lub Chochlika (Zagórskiego), zwykle jednak pozostaje sobą, zbliżonym najwięcej do swych klasycznych mistrzów, których jako filolog poznał gruntownie. Talent to wybitnie ironiczny, zdobywający się rzadko na wyższy polot, latający dziury fantazyi dowcipem, śmiechem pokrywający brak wykształcenia socyologicznego.

Dłuższe utwory w rodzaju kwilenia czy „sądu kwiatów“ cierpią na anemię, ale nawet w obrazkach satyrycznych, w których celuje, brak ognia i zapалу. Prostota i naturalność w słowie — nie dostaje mu czasem niezbędnej w tym rodzaju dosadności — nie wynagradzają młodego i spleźnego obrazowania. Jeżeli p. Konarski zagłębi tendencję swej poezji i skąpie ją w nurtach sztuki, zasłynie nie tylko jako poeta, ale odda społeczeństwu doniosłe usługi.

H. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Surowość dla nieprzyjaciół a pobłażliwość dla siebie. — Historia „człowieka nieszczęśliwego.“ — Baron Graev wobec niebezpieczeństw. Poznańskiego ratujący Galicye. — Dzielna logika obowiązków obywatelskich i domki z kart. — „Sprawozdanie“ Kasy mianowskiego. — Nasz czteroletni plon naukowy. — Straszny nieurodzaj. — Brak zamilowania do pracy. — Towarzystwo jedwabnicze. — Stańczycy wobec Mickiewicza. — Daremne obawy.

W czasach, kiedy zwykli, nie jacyś tam romantyzmem światłem obrzuceni, ale ordynarni krętacze i złodzieje mianują się stróżami dobrych obyczajów, kiedy bezczel-



ność jest niecną, wyrozumiałą tolerowaną, kiedy granice pojęć o uczciwości, obowiązku, służbie obywatelskiej i zasadach moralnych zatarły się sofistyką sumień wykrętnych, nawet ludzie prawi tracą zdolność ścisłego wyróżniania pierwiastków etycznych w życiu. Coraz bardziej rozszerza się nadmierna pobłażliwość, chęć usprawiedliwienia wszystkiego, powszechne adwokactwo i wstręt do stanowczych oskarżeń nawet tam, gdzie istotnie zagrożone są interesy ogółu. Objaw ten ze szczególną siłą wystąpił wobec handlu ziemią w Poznaniu. Kiedy rząd pruski stworzył komisję kolonizacyjną i dał jej miliony na wykupywanie ziemi, uznaliśmy ten środek za niemoralny, chociaż właściciele, przeciw którym był wymierzony, nie postawiono w warunkach przymusu, lecz wolnej woli, komisja bowiem nie wystąpiła jako wykonawczyni gwałtu, ale jako bogata kupcowa, która nawet zagona polskiego nie zdołałaby nabyć, jeśli by go jej dobrowolnie nie sprzedano. Tymczasem gdy panowie poznańscy znęcając jej kieszę ofiarowywali swoje majątki tak tłumnie, że ledwie przed ich natarciwością obronić się mogła, natychmiast, obok tu i owdzie głoszonych potępień, zaczęliśmy ich uniewinniać — to potrzebą ratowania się, to koniecznością względem wierzących, to wreszcie spekulacją szczególną, która im kazała za zyski w tym handlu osiągnięte nabywać korzystnie inne folwarki. Może po części dzięki tej obronie judaszowstwo względem ziemi rozpostarło się wśród większej własności bardzo szeroko i wciągnęło w swój krąg jednostki moralnie wybitne i zaszczytami obywatelskimi obdarzone, po których takiego przeniewierstwa się nie spodziewano. Liczbę tych jednostek pomnożył baron Graeve, poseł poznański do dwu sejmów, sprzedawszy ogromne swoje dobra komisji kolonizacyjnej. Że i na tego pana padł trąd, który tylu zaraził — trzeba i można z tem się pogodzić; ale z czem nie trzeba i nie można się pogodzić, to z podjętą w *Kuryerze Warsz.* przez p. Rogosza obroną. Zaiste ciekawe są jej argumenty i historia „człowieka nieszczęśliwego.” Br. Graeve, bogaty obywatel i posiadacz obszernych włości w Poznaniu, poseł tej prowincji w dwu sejmach, pewnego dnia przychodzi do przekonania, że powinien ratować... Galicyę, że w niej „da się jeszcze wiele zrobić, jeśli tylko uwaga skierowana będzie na... kopalniarne bogactwa ziemi.” Więc zakłada olbrzymie wapienniki pod Lwowem, nabywa obok nich ziemię, zaczyna kopać naftę około Krosna, kupuje obszerne pokłady węgla kamiennego w Galicyi wschodniej i na... Węgrzech, buduje fabrykę mączki kościanej itd. itd. Z tylu srok, trzymanych za ogony, nie dopisała żadna. Zabrakło kapitału. Co było robić? — pyta p. Rogosz. W takim razie liczni wierzący zabraliby kopalnie darmo. Br. Graeve wybrał ofiarę, która go najmniej kosztowała skrupułów: sprzedał Niemcom swoje dobra. Czy przez to uratował Galicyę i jej przemysł? P. Rogosz nie daje żadnego pod tym względem zapewnienia. Oto mamy wielce charakterystyczny obrazek rozumnej i poważnej pracy obywatelskiej. Mieszkaniec Poznański, dzielnicy najbardziej zagrożonej wynarodowieniem i wywłaszczeniem, opuszcza najbliższe pole działania, przenosi punkt ciężkości swoich spekulacyjnych zabiegów i ekonomicznych mrzonek gdzieindziej — do Galicyi; tam buduje zamki na lodzie, które się walą i które on podpira sprzedażą kawała ziemi jej wrogowi; będąc posłem, zamiast wyzyskiwać to stanowisko dla dobra prowincji, wyteża energię i środki w innej, gdzie myśli o wykopaniu skarbów, „bo na szerokiej arenie tylko głos człowieka bogatego coś waży.” Rzucając się w hazardowne spekulacje, z rachubą czysto osobistą, wmawia w siebie i innych że go na ratunek wzywa społeczeństwo. Ostatecznie z wielkim zasobem uzdolnień,

może nawet dobrych chęci, pomysłowości i pieniędzy upada pod ciężarem długów i sławy, łapie wiatr w polu, a opuszcza swoją chatę; kupuje ziemię na Węgrzech a sprzedaje w Poznaniu, marzy o fantazyjnej roli polityka bogatego a zaniedbuje i traci rzeczywistą. Tacy ludzie nie mogą być ani siłami twórczymi, ani nawet dobrym materiałem.

Kasa Mianowskiego ogłosiła swoje ósme „Sprawozdanie” za rok 1889. Tym razem kreśli ono wyjątkowo obraz nieco ogólniejszy. Mianowicie w roku ubiegłym przypadł termin przyznania dwu poważnych nagród (po 3,000 rs.) za najlepsze dzieła naukowe z zapisu Jakóba Natansona. Jak wiadomo, przysądzone je pp. W. Gosiewskiemu i A. Pawińskiemu. Usprawiedliwiając ten wybór, zarząd Kasy czyni pobieżny przegląd prac w dwu dziedzinach: umiejtności ścisłych i humanitarnych za okres czteroletni (od 1884 do 1888). Co za przerażające ubóstwo! Zebrano i przejrano wszystkie książki i broszurki, często tylko ze słabymi pozorami naukowości, a mimo to ze starannego pokłosa związane dwie garsteczki, niewyrównujące umysłowej produkcji Niemiec z jednego tygodnia. Wprawdzie uwzględniano tylko obręb Królestwa, ale nawet w tym ograniczonym zakresie przedstawił się nam bilans naukowej nędzy. Jest to widok niezmiernie bolesny, tem bolesniejszy, że szczodra pomoc Kasy „dla osób pracujących na polu naukowem” nie wywiera pożądanego wpływu. Pewien małeńki procent ludzi, korzystających z jej zasiłków i pożyczek, rzeczywiście nie marnuje publicznego grosza, ale znaczna ich część pozostaje od lat całych „przy nadziei” zrobienia czegoś. A jednakże rozechód na te cele w roku minionym wyniósł 10,675 rs! Wielokrotnie krytykowaliśmy zbyt łaskawą gospodarkę zarządu; ale do prawdy wobec chronicznej, niezmiernie słabej płodności obdarowanych należy go usprawiedliwić trudnością położenia. Bo gdy na zarzuty odpowiadamy: dajemy tym, którzy się zgłaszają z jakąś rekojmnią umysłową; wskazać lepszych i bardziej zasługujących, pomożemy im — to rzeczywiście trudno taką odpowiedź czemś odeprzeć. Istotnie faktem jest, że żaden niezamożny badacz u nas, o ile zgłaszał się do Kasy, nie odszedł z próżnymi rękami. Więc jeżeli wydawane przez nią sumy nie zbogacają naszej niwy naukowej odpowiednim plonem, niwa ta musi być bardzo wyjałowiona. Niestety, tak jest. Złożyło się na to i składa bardzo wiele przyczyn niezłomnych a rozgrzeszających nas w pewnej mierze; ale jest między niemi także brak zamiłowania do badań i pracy. My poprostu — a dla wyleczenia się powtarzamy to sobie jak najczęściej — jesteśmy w każdej sferze życia społeczeństwem próżnującem. Niemcy posiadają ogromne środki, instytucje, sprzyjające warunkom — niewątpliwie; ale przytem objawiają pracowitość, o jakiej my nie mamy wyobrażenia. To naród mrówek i pszczoł, my zaś jesteśmy gromadą motylów. To też nie może między nami wytworzyć się stała ciągłość i tradycja pracy badawczej, pobudzająca do niej atmosfera naukowa; tu i owdzie tylko, od czasu do czasu, wystrzeli jakaś zdolność, jakaś pracowitość niezwykła, która pokona zniechęcające wpływy otoczenia, zakwitnie i owoc wyda. Gdzieindziej literatura umiejtności przedstawia się pod postacią nieprzerwanych łańcuchów usiłowań; u nas tworzy obraz niezłączonych z sobą i rozrzuconych ogni. My nie zaczynamy tam, gdzie skończyli nasi poprzednicy, ale tam, gdzie zaczęli cudzoziemcy. Nie jedna fala ruchu umysłowego pcha drugą, ale każda jest oderwaną od innych i zwykle z obcego morza stoczoną. Wyjątek pod tym względem stanowią chyba tylko badania nad historią krajową.

Po przeczytaniu „Sprawozdania,” kto zdoła ująć w jakąś regułę i wytłomaczyć zachowanie się ukształconego ogółu wobec

książek z pomocą Kasy wydawanych? Można to zrozumieć, że w r. 1888 sprzedano Corneliusa Neposa za rs. 1 k. 68; a dlaczego np. *Meteorologia* (Mohna) przyniosła 343 rs. 48 k., *Kosmografia* (Jędrzejewicza) — 253 rs. 84 kop., *Iliada* — 12 rs., a *Bjologia* (Huxleya) rs. 1 k. 60 — tego nikt nie objaśni. Czyż u nas jest rzeczywicie najmniej ludzi zajmujących się bijologią, a najwięcej — meteorologią?

Szczerze i gorąco życzyć należy jak najszerszego powodzenia „Warszawskiemu Towarzystwu jedwabniczemu,” które świeżo ogłosiło swoją zatwierdzoną ustawę. Zadaniem jego będzie: 1) ułatwienie mieszkańcom gubernij Królestwa Polskiego nabywania nasion i drzew morwy; 2) dostarczanie zdrowych jajeczek do wylęgu jedwabników po możliwie niskich cenach lub bezpłatnie; 3) kupowanie kokonów lub pośredniczenie w sprzedaży; 4) udzielanie wskazówek co do hodowli; 5) rozpowszechnianie odnośnych wiadomości drogą prasy i wykładów popularnych; 6) popieranie osób specjalnie jedwabnictwa studyujących itd. Bardzo już dawno brzmia na naszej puszczy głosy wołających o uprawę tej gałęzi przemysłu, obiecującej krajowi wielkie korzyści. Dotychczasowe próby, podejmowane ze szczupłymi środkami i w ograniczonej mierze, zniechęciły ogół, ale bynajmniej nie obaliły wiary ludzi z przedmiotem obeznanych w możliwość powodzenia. I tu trzeba powtórzyć starą prawdę ekonomiczną, że abyby jakiś produkt zdobył dla siebie rynek handlowy, musi na nim wystąpić nietylko w pożądaną jakość, ale i w pewnej sumie. Kilka setek funtów kokonów, wyhodowanych u nas przez drobne i dorywczo prowadzone przedsiębiorstwa, nie mogło uczynić kraju naszego poważnym warsztatem i ogniskiem jedwabnictwa. Fabryki nie brały nas w rachubę — skutkiem tego nie ułożyły się prawidłowe stosunki między wytworem a zbytem. Może powołane do życia Towarzystwo niewiadomośc pouczy, zaradności drogę wskaże, dobre chęci wzmacni i schnącą gałązkę do rozwoju pobudzi. Zwłaszcza ziemianie, którzy pragnęliby gospodarstwo rolne dopełnić innym jeszcze przemysłem, powinni skorzystać z nowej instytucji, a tem skwapliwiej, że ona ich nie wpędzi w żadne ryzyka i kosztowne nakłady.

Nie 30 tedy czerwca, ale 4 lipca obędzie się w Krakowie uroczystość złożenia na Wawelu zwłok A. Mickiewicza. Kilka pism warszawskich podjęło kwestję, czy gospodarze Galicyi, a specjalnie Krakowa, stańczycy, którzy, bądź co bądź, głównie kierować będą obchodem, wyzyskają go dla objawów lojalności austriackiej? Nie sądzę. Pomijając to, że Mickiewicz do swych pism nie używał piór ze skrzydeł orla austriackiego, należy pamiętać, że jest on po Koperniku największym geniuszem polskim i jednym z największych geniuszów świata. Tacy ludzie nie mieszczą się w ramki jakichś prowincjonalnych polityk i lojalizmów. Kiedy po Austrii pozostaną już tylko wspomnienia w historii, olbrzym naszej poezji stać będzie jeszcze przed oczami potomnych. O żadnych więc zaściankowych manifestacjach przy jego trumnie mowy być nie może. Wszelkie w tym kierunku pokusy zgniecie jego wielkość i ogrom tej czci, jaka go otacza. Kraszewski nie był Mickiewiczem, a jednakże podczas jego jubileuszu w Krakowie stańczykowskie zabiegi ujawniły się tylko w zaledwie dostrzegalnych dąsach. Czemuż one być mogą wobec takiego mocarza, jak twórca *Pana Tadeusza*? Zresztą pomimo całego przeciwieństwa względem stańczyków, przyznać należy, iż są to ludzie praktycznie mądry, którzy bardzo dobrze wiedzą, gdzie mogą swą choraćgiwkę śmiało rozwinąć, a gdzie ją muszą trwożliwie schować. Ich więc dzwony nie będą biły, a przynajmniej nie zagłuszą innych, gdy Mickiewicz wstąpi w podziemia Wawelu.

Posel Prawdy.



## Z D A L A.

Dalsze cieniowanie reformy wykształcenia klasycznego. — Ministerium rolnictwa. — Karta urodzajów i święto renty. — Ofiary bezwładności własnej i chaosu otoczenia. — Dobroć piwowarów ruskich. — Handel z Chinami. — Kolej syberyjska.

Wielkiej doniosłości sprawa reformy gimnazyów klasycznych jeszcze nie zeszła z porządku dziennego. Sama reforma znajduje się jeszcze w fazie poprawek. Wiadomo, że według projektu ministra oświaty, polegała ona na zmniejszeniu ogólnej liczby lekcji języków starożytnych (łacińskiego od 49 do 42, greckiego 36—33) oraz na usunięciu z kursu przekładów z języka rosyjskiego na starożytne, czyli t. z. *extemporaliiów*, na skróceniu gramatyki itp. Otóż, jak *Świat* donosi, na ogólnym zgromadzeniu w Radzie państwa, bardzo ożywionem, większość członków oświadczyła się za zmianami w rzeczonym projekcie, które dadzą się streścić w następujący sposób: 1) Do języka greckiego mają być dodane trzy lekcje ujęte łacińskiemu, który będzie zmniejszony wogóle do 36 lekcji, czyli o 6 wbrew zalecanej normie przez ministra a o 13 w stosunku do obecnej. Motywem tej poprawki jest ten wzgląd, że wykład języka greckiego zaczyna się później, niż łacińskiego (pierwszy od III, drugi od I klasy) pomimo jednakiej trudności obu. Stąd też nie ma żadnej słusznej podstawy, żeby łacina miała pierwszeństwo przed greczyzną, 2) Ze względu na to, iż znajomość otaczającej nas natury jest niezbędną cechą wykształcenia średniego, liczba lekcji nauk przyrodniczych ma być podniesioną od 2 do 6. 3) Liczba zaś lekcji matematyki skróconą zostanie a fizyki rozszerzoną—o dwie. Taka jest najnowsza postać kielkującej reformy klasycyzmu, ale ponieważ jeszcze nie uzyskała zatwierdzenia, posłyszmy może o nowych dodatkach lub uszczupleniach.

Coraz częściej i uparciej powraca na szpalty pism ruskich wiadomość o utworzeniu nowego ministerium rolnictwa i przemysłu wiejskiego. *Świat* nawet utrzymuje, że ta sprawa miała być roztrąsaną w wyższych instytucjach państwowych. Istotnie powołanie do życia tego wyodrębnionego ośrodka zarządu miało by wielką doniosłość dla rozwoju rolnictwa w państwie tak rozległym, jak Rosya. Takie ministerium służyłoby za prawidłowy i systematycznie działający organ troskliwości rządu o najobszerniejszą gałąź produkcji krajowej. Zbytecznem byłoby pod tym względem szukać dobitniejszych argumentów. Skoro istnieć może naczelną instytucja kierująca gospodarką transportową, jak ministerium komunikacji, tem bardziej usprawiedliwić się da naczelną władza, zarządzająca sprawami rolnictwa i przemysłu wiejskiego. Dotychczas ta dziedzina miała swe zawiadowstwo w departamencie rolniczym przy ministerium dóbr państwa. *Świat* tuszy sobie, że wzmiankowana instytucja dla rolnictwa będzie wykitem dalszego rozwoju departamentu, który w ostatnich czasach znacznie już rozszerzyć miał zakres swojej działalności (pозaprowadzał np. własnych agentów pośredniczących między prowincją a zarządem centralnym).

Nim jednak narodzi się doskonalszy organ zesrodkowujący i poprowadzi z większą energią sprawy rolnictwa, przejrzyjmy kartę urodzajów, dołączoną do ostatniego numeru *Więstnika Finansów*. Przedstawia ona stan oziminy, skonstatowany 19-go maja nowego stylu. Danych dostarczyli inspektorowie podatkowi. Cały północ-wschód Rosyi europejskiej, szczególnie gubernie wiacka, permska, kostromska i wołogodzka figurują na karcie, jako dotknięte „niedostatecznym“ stanem oziminy czyli zupełnym nieurodzajem. Graniczące z tym

pokrzywdzonym przez naturę pasem: ołoniecka, a w części niżegrodzka, symbirska, kazańska, ufińska, orenburska i samarska (w północnej części) mają urodzaj „mniej niż średni“. Toż samo część jekaterynowsławskiej (powiaty nowomoskiewski, pawłogradzki, aleksandrowski i jekaterynowsławski) oraz w części nowogrodzkiej (Torzeż i Stara Rusa). Następnie całe Królestwo Polskie i ościenne mu części kraju północno-zachodniego, kraj nadbałtycki aż do południowej granicy guberni estlandzkiej łącznie z pskowską—mają „średni“. To samo dotyczy guberni białostockiej, w części podolskiej, chersońskiej, czernihowskiej, kurskiej i orłowskiej w promieniu skrzyżowania się linii dróg żelaznych: Kursko-kijowskiej i Libawsko-kremieńczyckiej. Cała pozostająca część Rosyi europejskiej, zatem prawie całe południe, południo-wschód i niemal cały środkowy pas Cesarstwa że znaczną częścią północnego—są oznaczone na karcie urodzajów notą „dobre“ a nawet—„bardzo dobre“. Tam też w tym roku, jeśli żniwa i plon wypadną równie świetnie, obchodzone będzie święto „wyższej renty“.

W tej uroczystości nie wezmą udziału: 1000 kosiarzy, którzy wrócili z Donu i Kubania, gdzie ich nie potrzebowano z powodu nieurodzaju zbóż i traw. Zgromadzili się oni przed domem atamana kozackiego w Nowoczerkasku i błagali o odesłanie bezpłatne do Woroneża. Cały swój statek zarobkowy (narzędzia pracy), a nawet odzienie posprzedawali w drodze dla wyżywienia się. Oprócz tysięcy przed domem atamana, drugie tyle na dworcu kolei oczekiwało rezultatów swojej delegacji. Między nimi znajdowały się kobiety i wyrostki—wszyscy znuzeni długimi a daremnymi pochodami. To samo skupienie rąk szukających omackiem zajęcia miało miejsce w Rostowie nad Donem. W Nowoczerkasku p. Polakow podjął się swoim kosztem odesłania 900 tych nowoczesnych pielgrzymów do domu. Nie lepszy los spotkał tułających się za zarobkiem, jak zblakane owce, w Chersonie podczas jarmarku, na którym zwykle ich najmowano. W tym roku przeszło 3000 musi odejść zniczem—za dużo ich się zjawilo. Korespondent *Ruskich Wiedomości* utrzymuje, że, oprócz nieurodzajów, tak leniwy popyt na siłę roboczą da się wytłomaczyć faktem, iż z każdym rokiem coraz więcej rozpowszechnia się na południu maszyna przy uprawie i sprzącie pól. Ponury obraz przedstawiają te wyrzutki kultury w opisie korespondenta: „Na olbrzymim placu jarmarczonym (w Chersonie), pod otwartym niebem, otuleni obłokami kurzu, tarzają się w nim ludzie, otoczeni ze wszech stron odpadkami. Spędzają oni tu dzień i noc całymi tygodniami w oczekiwaniu obywatela ziemskiego, lub jego rzadcy, któryby ich najął i nakarmił. Czem się oni żywią tymczasem—lepiej nie mówmy... Ani miasto, ani administracja nie nie przedsiębiorą celem złagodzenia ich losu. Zarząd miejski, ciągnący z jarmarku znaczne opłaty, nie urządził wcale nawet studni („wodopój“) dla ludzi, którzy zmuszeni są pić z jednego koryta razem z końmi, zarażonymi nosaczyną. A i tę wodę dostają przebojem, ponieważ darmo jej nie dają. Za każde wiadro, kwartę lub butelkę żądają od nich po kopiejce. Niemający jej iść muszą do rzeki o półto-rej wiorsty i czerpać sobie wodę, uznaną przez miasto za szkodliwą. Nie dziw, że lekarze ziemscy, którzy pootwierali ambulatorya i daremne rozdawnictwo lekarstw, mają często do czynienia z zimnicą, dyaryą itp. chorobami wśród tych biedaków.“

Pewien dobroczyńca amerykański, nazwiskiem Tenner, wprawił w nielada kłopot piwowarów petersburskich. Zapisał on im 300,000 dolarów, jeśli zdołają doprowadzić jakoś piwa swego i cenę do poziomu amerykańskiego. Bagatela! *Dień* utrzymuje, iż gdyby piwowarzy dostali w swoje ręce tę sumę, to musieliby cenę butelki piwa

zniżyć od 10 do 5½ kopiejek. Zyskaliby na tem spożywczy. Otóż wobec takiej ofiary samolubstwo wprawia spadkobierców w stan niepewności—podjąć czy nie spadek?

*Więstnik Finansów* pomieścił ciekawe cyfry o handlu Rosyi z Chinami za r. 1889. Ogólny wniosek jest bardzo smutny, konstatuje bowiem coroczne postępowe zmniejszanie się obrotów handlu ruskiego z „państwem niebieskiem“. Kiedy w r. 1886 obrót w rublach wynosił 20,374,766, w r. 1889 spadł do 15,031,822! Zatem prawie o połowę. Nie dość tego. Zestawiając wywóz ruskich z przywozem chińskim, spostrzegamy wzrost tego ostatniego. Tak np. w r. 1886 wywóz do Chin wynosił 1,553,984 rs., przywóz zaś z Chin — 18,821,782, tymczasem w r. 1889 pierwszy wyrażał się 1,085,144, drugi — 13,946,678, wogóle znów w ciągu czterolecia pierwszy sięgał 7,367,390 rs., drugi — 77,399,067! Chiński więc przywóz przenosi ruski wywóz 10½ razy, i w ciągu czterolecia Rosya musiała dopłacić chińczykom 70,031,677 rs. Pamiętać trzeba, że dane powyższe zaczerpnięte są tylko z ruchu przez Kiachtę, dowóz zaś chiński do Rosyi nie ogranicza się do drogi lądowej. Gdzie przyczyna? Wszak czterechsetmilionowa ludność Chin zdawałaby się być niewątpliwym rynkiem przemysłu ruskiego? Głównym towarem handlu ruskiego z Chinami były dawniej sukna. Z biegiem czasu ten stosunkowo drogi towar zastępować zaczęto tańszymi tkaninami bawełnianymi, których wywóz dosięgał w 1888 r. 822,202 rs. przy ogólnej wartości towarów ruskich zbytych do Chin na sumę 2,374,760 rs. Wywóz więc tkanin bawełnianych stanowił w 1888 r. 34.6% ogólnego wywozu. Lecz w następnym już roku zbyt tego towaru mocno spadł, bo do 217,947 rs., pomimo iż w r. 1889 ceny jego stosunkowo były niższe. Nawet przy ogólnem zmniejszeniu się wywozu spadł do 20%. Najbliższą przyczyną tego zjawiska, pomimo zmiany kursu pieniędzy, jest niewątpliwie zwyżka cła od bawełny, wywołana potrzebą opieki młodocianych plantacji tego włókna w Azji środkowej. Ruscy fabrykanci z tego powodu nie mogą współzawodniczyć taniością wytworów swoich z zagranicznymi i muszą być wyparci. Jest jednak nadzieja, że wobec rozwoju bawełnictwa w posiadłościach środkowo-azyatyckich rynek chiński zbyt wielkiej nabierze doniosłości, żeby państwo nie wysiliło się na przywrócenie go swoim obywatelom. Najprzód, dość znany środek doraźny, jak zwrot cła od bawełny uwięzionej w towarze zbywanym do Chin, następnie zaś może już w niedalekiej przyszłości kolej syberyjska, stojąca na porządku dziennym od lat 15 — zostaną wezwane ku pomocy „rodzimego“ przemysłu.

*Dień*, zaniepokojony opieszałością, z jaką posuwa się sprawa budowy kolei syberyjskiej, wlewa w serca otuchę przykładem dziejów powstania drogi żelaznej kanadyjskiej (od Montreala do wyspy Vankuwer) — od oceanu Atlantyckiego do Spokoijnego. Tak samo linia ta, długością 3,800 kilometrów, przebiega odludno (a miejscami odludniejsze jeszcze) terytorya, jak przyszła syberyjska, a jednak czas jej budowy wynosił tylko około pięciu lat. Na 500 milionów franków Towarzystwa kanadyjsko-spokojno-oceanicznego rząd dał subsydum 125 milionów. Jakkolwiek przykład Anglii niefortunnie jest wybrany, gdyż państwo to w rędzie potęg militarnych zajmuje szary koniec, tem niemniej jednak jest nadzieja, że jeśli nie względy (dość silne) ekonomiczne, to bardziej strategiczne przyspieszą sprawę połączenia szynami oceanu Spokoijnego (Władywostok) z morzami: Czarnem i Bałtykiem — jak marzy *Świat*.

Z. Atanazy.



# KRONIKA.

**Teatr** przedstawił komedię K. Zalewskiego „Oj ci meżczyźni.“

**Szkoły.** Na kursy pedagogiczne języków: francuskiego i niemieckiego, utworzone przy pierwszym gimnazjum żeńskim w Warszawie, w celu przysposobienia nauczycielek tych języków, oprócz wychowanki gimnazjów lub instytutów naukowych przyjmowane będą także kandydatki z wychowania prywatnego. Dla tych ostatnich warunkiem będzie złożenie w tem gimnazjum egzaminu z całkowitego kursu gimnazjalnego lub przedstawienia świadectwa ze złożonego egzaminu w innym zakładzie naukowym.

— Synod przeznaczył 25,000 rs. na potrzeby dodatkowe duchowieństwa prawosławnego i szkół parafialnych w guberniach: wileńskiej, witebskiej, wołyńskiej, grodzieńskiej, kowieńskiej, kijowskiej, podolskiej.

— Uroczyste zamykanie roku szkolnego w szkołach technicznych kolejowych, odbywające się dotąd w czerwcu, z rozporządzenia ministerium komunikacji od r. b. odbywać się będzie we wrześniu.

— We wszystkich zakładach naukowych egzaminy ukończono.

— *Grażdanin* donosi o zamiarze zupełnego przekształcenia szkół początkowych w Kraju zachodnim.

— W Sobieszynie zamierzono otworzyć szkołę praktykantów rolniczych.

— W „Collège de France“ utworzono katedrę napisów semickich.

**Wiadomości społeczne.** Według zapewnień pełnomocnika ks. Hohenlohe, rozległe dobra powitngienstowskie mają być stanowczo sprzedane. Znaczna część ma być rozparcelowana. W tym celu Bank wrocławski rozpoczął już pośrednictwo. Tranzakeya będzie na sumę 300,000 rs.

— W tych dniach ogłoszone będą przepisy o czytelnich bezpłatnych dla ludu, opracowane przez ministeria oświaty i spraw wewnętrznych.

— Ma być utworzona specjalna komisja, która się zajmie sprawą włościan bezrolnych.

— Sąd wojenny połowy z Warszawy skazał w Siedlcach trzech żołnierzy półku dragońskiego na śmierć przez rozstrzelanie, za zabicie wachmistrza szwadronu tegoż pułku.

— W Tarnopolu zawiązało się stowarzyszenie rusińskie p. n. „Rada podolska“, mające na celu obronę praw narodowości rusińskiej, popieranie języka i wyborów do rad powiatowych.

— Pierwszy zjazd nauczycielek niemieckich uchwalił rezolucję, żądającą lecniejszego dopuszczenia kobiet do udziału w wychowaniu publicznem.

— Fundacya im. Schillera (w Weimerze), mająca na celu placenie pensji stałych niezamożnym poetom niemieckim, wydała w r. 32,000 marek dla 15 osób.

**Sprawy kolejowe** Kolej Libawsko-Romeńska została wykupioną przez skarbu na zasadzie umowy specjalnej.

— Ma być przeprowadzony drugi tor kolejowy pomiędzy Batumem i Baku.

— Ministerium komunikacji wykryło, że ekspedycyjni towary za pośrednictwem agentów kolejowych wykazują mniejszą ilość towaru ze szkoda dla skarbu.

— Chodzą pogłoski, iż projekt kolei szerokotorowej z Łodzi na Zgierz, Ozorków, Łęczycę, Kutno do Płocka, a następnie do Mławy, będzie wkrótce urzeczywistniony.

— Kolej Doniecka przechodzi pod zarząd skarbu.

— W celu opracowania taryf komunikacji bezpośredniej między kolejami w Królestwie z drogami szlaziłkami i niemieckimi odbędzie się w początkach lipca narada w Berlinie lub Wrocławiu.

**Wiadomości administracyjne.** Na t. zw. wolnych pocztach zniesiono podatek na rzecz skarbu od każdego konia, wysyłanego z podróznymi.

— Obróńcom prywatnym będzie surowo wzbronione noszenie wszelkich znaczków i rozetek na kłapach fraków przy stawianiu w sądzie, ponieważ może to mieć oświeconych klientów wprowadzać w błąd przez pomieszanie adwokatów przysięgłych z powyższymi obrońcami.

**Wystawy.** Ministerium skarbu, dla bliższego zaznajomienia zagranicy z produkcją przemysłową Rosyi, zamierza urządzać stałe wystawy muzealne w główniejszych miastach Europy i Azji; na początku będą otwarte: w Berlinie, Paryżu, Londynie, Hamburgu, Neapolu, Sztokholmie, Konstantynopolu, Teheranie i Tokio przy konsulatach generalnych. Na urządzenie muzeów przeznaczono po 50,000 rs.

— W lipcu i sierpniu odbędą się wystawy koni w gub. kowieńskiej i podolskiej.

— Istnieje projekt urządzenia we wszystkich większych miastach stałych wystaw prac aresztantów. Zarząd każdej wystawy upoważniony będzie do przyjmowania zamówień prywatnych.

— W Kazaniu otwarto wystawę przemysłowo-rolniczą.

— W Landsbergu odbędzie się w sierpniu wystawa pszczelnicza.

— W Brunszwiku otwarto wystawę pamiątek z wojen Napoleońskich r. 1806—1815.

— We Wrocławiu otwarto międzynarodową wystawę maszyn.

— W Budapeszcie odbędzie się wystawa garbarska w sierpniu i wrześniu r. b.

**Zdrowie publiczne.** W szpitalu św. Ducha w Warszawie wybudowana będzie nowa sala operacyjna z pokojem dla chloroformowania.

— Utworzono komisję z lekarzy i weterynarzy wojskowych, w celu obmyślenia środków przeciw szerzeniu się nosaczyny u ludzi.

**Sprawy literackie.** Nowy tygodnik lwowski, *Trybuna*, skonfiskowany został za artykuł p. t. „Prądy staroświeckie.“ Jest to trzecia konfiskata w ciągu sześciu tygodni. (*Kur. warsz.*).

— Wzbroniono sprzedaży pojedynczych numerów *Grażdanina*.

— Redakcyja *Świata* przygotowuje na uroczystość pogrzebową numer wyłącznie poświęcony Mickiewiczowi.

— We Lwowie wkrótce zaczną wychodzić miesięcznik p. t. *Czasopismo psychiatryczne*.

**Zmarli.** Wilhelm Włener, wydawca i redaktor naczelnego dziennika *Presse* w Wiedniu.

— Filip Burty w Paryżu; krytyk i estetyk francuski.

— Franciszek Hodel, w Sztokholmie; dramaturg szwedzki.

— Dr. Filip Schweltzer, w Vevey; profesor i krytyk literatury w Weimarze.

— Otton Mengelberg w Düsseldorfie; malarz historyczny niemiecki.

— Vasile Alexandre, w Paryżu; poeta i poseł rumuński.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Czytelnikom.* Naturalista z plazem nie rozprawia, ale najmierniejszego pomijać nie może. Podobnie publicysta z padalcem dziennikarskim nie polemizuje, ale o nim nierzadko wspomnieć musi, chociażby dla spełnienia powinności, którą Voltaire zawarł w hasło: *ecrasez l'infame*. Ten wzgląd zagnął nas kilkakrotnie do anlizowania w *Prawdzie* publicznych czynów p. Piltza, znanego właściciela hotelu literackiego i jeszcze bardziej znanego krętacza, który zająwszy najniższy szczebel w umysłowym i moralnym ustąpieniu prasy polskiej, nie przestawał broić w swoim *Kraju* i narzucać się społeczeństwu na przewodnika. Niedawno zaznaczyliśmy ogłoszony przeciw niemu w *Wieku* akt oskarżenia cenionego powieściopisarza, A. Szymańskiego. Pomimo przyzwolitego tonu naszych uwag, p. Piltz odpowiedział na nie szeregiem kłamliwych i potwarczych obwinień oraz tak nizekomych obelg, jakie tylko najbardziej rzymszokami prasy płynąć zwykły, a w naszej nigdy nie płynęły. Jest to wstrętne a jednak nieuniknioną koniecznością dla ludzi działających publicznie, że muszą oni odpiierać najnieczystsze oszczerstwa faktyczne. Tej więc zawartości paszkwilu przeciwstawimy prawdę. Przed sędmiu laty zrobiliśmy p. Piltzowi zarzut natury karnej. P. Piltz, wiedząc bardzo dobrze, iż nikt wobec takiego zarzutu do walki pojedynkowej nie staje, przysłał redaktorowi *Prawdy* wyzwanie, którego ten naturalnie nie przyjął. Otrąbiony po tej odmowie w *Kraju* tryumf okazał się niedostatecznym i nie usunął potrzeby rozjaśnienia sprawy przed sądem honorowym. Sąd ten, nie podzieliwszy naszego zarzutu w tej formie, w jakiej go postaviliśmy, uznał tylko pewne „niewłaściwości, odnoszące się do dawniejszych lat życia“ p. Piltza. Ponieważ, uległszy długim namowom, redaktor *Prawdy* przyrzekł nie ogłaszać materiału dowodowego i nie wszczynać zakończzonego sporu, więc słumiwszy osobiste przekonanie, wydrukowaliśmy wyrok *bez jednego słowa* objaśnienia i uwag (w n. 23 z r. 1884). Tymczasem p. Piltz, wbrew honorowemu zobowiązaniu, poprzedził go wstępem krytycznym, co zaznaczyliśmy (w n. 26), oświadczając jednak, że nas to „do wzajemnych komentarzów nie po-

budza.“ Jakkolwiek p. Piltz swem wiarołomstwem już wówczas uwolnił nas od obowiązku milczenia w tej sprawie, przez lat sześć nie dotknęliśmy jej ani razu, pomimo ciągłych zaczepiek i napaści *Kraju*. Dotrzymaliśmy naszego słowa tak sumiennie, że niedawno, gdy w kilku pismach warszawskich p. Piltz postawiono pod pretekstem i piętnowano „niewłaściwościami dawniejszych lat jego życia“, jeden z tygodników wyłomaczył, iż *Prawda* nie bierze udziału w tej egzekucji, bo jest związana honorowem przyrzeczeniem. Kto inny, posiadający jakąś niezgaszoną iskrę uczciwości czułby wdzięczność dla nas za takie postępowanie, pozwalające mu wyczerować podartą reputację. P. Piltz zachował się jak prawdziwy infam. Chociaż z naszego milczenia korzystał, nietylko wysyłał do napaści na nas p. Spasowicza (w sprawie Zapołskiej) i bezimienną czerń swoich reporterów warszawskich, ale nadto, wyzyskując, jak wszyscy jego miary moralnej niedźwicy, krótką pamięć ludzką, zarzucał w ostatnim paszkwilu redaktorowi *Prawdy*, że ten „wbrew uroczystemu zobowiązaniu wyrok sądu honorowego *natychmiast poddał krytyce*“. Bezczelność tej nie możemy nadal pozostawić bezkarną, tem bardziej, że oświecenia charakteru p. Piltza, jako przedsiębiorcy *Kraju*, wymaga interes społeczny. Pragnęliśmy szczerze spełnić naszą obowiązaną sądowni honorowemu, nie kwestyonowaliśmy i kwestyonować nie będziemy jego wyroku, uważając go za akt sumienia; ale skoro p. Piltz nietylko odrazu złamał deklarację, nietylko nie uszanował naszego sześćdziesięcioletniego milczenia, ale śmiał na nas zwać swoje wiarołomstwo i przypominał w kłamliwym przedstawieniu sprawę, o której milczeć powinien, oświadczamy, że również zdejmujemy z siebie obowiązek, którego nie możemy spełniać jednostronnie i do dalszej z p. Piltzem walki używać będziemy materiału z tej wskrzeszonej przez niego sprawy.

W sznur swych bezczynnych kłamstw wpłata dalej p. Piltz twierdzenie, że redaktor *Prawdy* „wystąpił z oskarżeniem, iż w rękach jednego z profesorów uniwersytetu krakowskiego istnieje ma jakiś list fatalnie go kompromitujący“. I że „zarzut ten musiał odwołać“. Jak wiadomo tegorocznym czytelnikom naszym, my niczego w tej sprawie nie odwoływaliśmy.

Twierdził wreszcie p. Piltz, że nas „opuścili wszyscy zwolennicy“ a „z licznego sztabu postępowego pozostało zaledwie paru niedobitków“. I tu czytelnik *Prawdy* wie, że ja w ciągu lat 10 opuściło kilku współpracowników żadnym stałym stosunkiem niezwiązanych, dwu zwykłych robotników literackich, którzy utoneli lub toną w zapomnieniu i dwu, którzy założyli własny organ. Co zaś do „niedobitków“, autor prospektów, ogłoszeń i paszkwilów, nawet najbardziej wynurzywszy się ze swego błota, nie dojrzy jeszcze ich kostek.

Tyle o stronie faktycznej paszkwilu. P. Piltz dołączył do nich swoją na nas kłatwę etyczną, zdolną rozśmieszyć najczarniejszą melanchollię, widzącą go w roli kapłana moralności, oraz swoją „wzgardę“. Jeżeli wszelka kanalia, w życiu lub literaturze, może wysławiać komuś przyjemność lub zaszczyt, to tylko swoją nagana, nienawiścią i wzgardą, której nie mogą zwracać poniżej siebie, bo nikogo gorszego już nie znajduje, ciska nad siebie. To też jakkolwiek obelżywe półsłówka i słowa p. Piltza są obiektywnie nizekomye, subiektywnie dla nas, jako sądy człowieka, za którym chodzi ciągle cień niesławy, w którym niecnota tak przybrała moc nałogu, że jeszcze niedawno miał sprawę publiczną o podpisanie na wydrukowanym liście cudzego nazwiska; człowieka, który zachwałność swą czerpie w beczelności, w lekceważeniu go i w opiece znakomitego adwokata kryminalnego; człowieka, który tak „ustalił swą opinię w prasie“, że gdy do jednego z jej organów warszawskich wpuszczono go chyłkiem, pomimo wszelkich wywoływań nie chciał go pokazać i przyznać się do posiadania w swem gronie, człowieka, którego nazwisko stało się przysłowiowem i jednoznaczniem obrazem — dla nas, mówimy, potępienie ze strony takiego rycerza jest tylko pożądaniem i zaszczytnem. Najzupełniej więc godzimy się na to, że redaktor *Prawdy* jest „zły, przewrotny i nizekiej próby moralnej“ — i że zasługuje na wzgardę p. Piltza, który stoi na biegunie przeciwnym. Tylko jednaka z nim „próba moralna“ mogłaby nas istotnie zalewać.

*M. H. W.* „Rozmowie na balu“ znaleźliśmy tylko zużyte frazesy. Z tej próby niczego jeszcze wróżyć nie możemy.

*Ami — femme.* I to nie.

*Pani H. Sł.* W jakim języku? Polskie atlasy są słabe; z niemieckich Andree'a — tani i dobry.



# Fabryka i Magazyn Jubilerski M. Mankielewicz

w gmachu Teatru pod filarami.  
W WARSZAWIE.

Poleca w największym i jedynym w swoim rodzaju wyborze: Brylanty, Perły i kolorowe kamienie nieoprawne, Bizuterię brylantową, Bizuterię brylantową z perłami i kolorowymi kamieniami, Bizuterię złotą, wytwornej roboty, Bizuterię złotą taną, Bizuterię srebrną; Przedmioty fantazyjne jako to: Bonbonierki, Flakony do perfum, Breloki, Ołówki, Obsadki do piór, Szczyrki, Noże do papieru itp. Wyroby srebrne: Puhary, Karafki do wina, Kubki, Podstawki do szklanek, Kółka do serwet, Przybory dzieciinne na pamiątkę chrztu, Wieniec laurowe, Wieniec i drzewka srebrnego wesela, Papierośnice, Portmonety, Woreczki do drobnych pieniędzy, Rączki do lasek i Parasolek. Wszystkie powyższe przedmioty w najnowszych i w przeważnej części gdzieindziej nie powtarzających się modelach.

**Ceny najumiarkowańsze.**

## Magazyn Mebli MAKSYMILJANA KALMUS

w Warszawie, Grzybowska 37,

poleca:

Różnego rodzaju Meble, poczynając od najskromniejszych do najwykwintniejszych — stylowych.

Przyjmuje również zamówienia na kompletne urządzenia mieszkań.

## NASZE PERFUMY

wyrabiane wyłącznie przez

### Warszawskie Laboratorium Chemiczne

dorównują przynajmniej najlepszym perfumom angielskim, będące o 40% od nich tańszymi. Dostać można w 15-tu pięknych zapachach.

Tomilek (Heliotrop).  
Konwalia majowa,  
Fijolok.  
Bukiet Warszawski.  
Bukiet Łazienkowski.

Rozwoń (Magnolia).  
Róża mchowa.  
Zamrocznia (Ixora).  
Świeże siano.  
Storezki.

Rezeda.  
Szczęśliwość.  
Bodziek różany.  
Przepyszln (Gardenia).  
Kalina ordowid.

Jedyna cena flakonów oryginalnych 40 kop.

Dostać można: 1) Róg Miodowej i Senatorskiej, 2) Krakowskie-Przedmieście Nr. 1, 3) Róg Granicznej i Królewskiej, 4) Nalewki Nr. 31.

# Newskie



# NICK

## Do AMERYKI.

### BILETY JAZDY

Holendersko-amerykańskiego Towarzystwa żeglugi parowej

w Kantorze Ekspedycyjnym  
MAURYCEGO LUXEMBURGA,  
Jeneralnego Agenta Towarzystwa  
w Warszawie, Erywańska 6.

Wszelkie objaśnienia szybko i bezpłatnie.

Najkrótsza, najszybsza i najtańsza podróż.

## Karol Marks: Kapitał

wyszedł z druku zeszyt III i jest do odebrania w miejscach przedpłaty. Cena całego tomu rs. 3 kop. 50, z przesyłką rs. 4. Zeszyty II i III można nabywać oddzielnie po rublu. Skład główny w księgarni M. ARCTA, Nowy Świat 53. Do nabycia również we wszystkich księgarniach.

## Bandaże rupturowe

Suspensory, Woreczki higieniczne, Gąbeczki ochronne, Irrygatory i t. p. przedmioty najtańiej w Magazynie Opłaczno-Chirurgicznym  
JULJANA DREHERA, Szpitalna Nr. 6.  
Zlecenia z prowincji wysyłają się za zaliczeniem.

## MAGAZYN Ubiórów Męzkich P. KREPSKIEGO

ulica Kotzebue Nr. 11 (Hotel Brühlowski),  
w Warszawie.

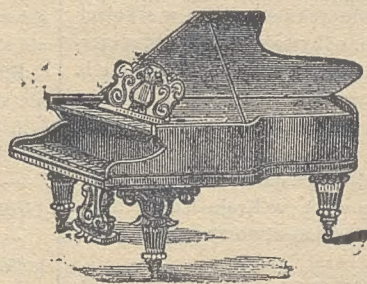
## GEBETHNER i WOLFF

NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Fortepianów i Pianin

Sprzedż

na raty.



Wynajem

instrumentów.

40, Krakowskie-Przedmieście, 40.

Kotzebue Nr. 2,  
w Warszawie.  
Magazyn Ubiórów Dziecinnych  
S. Przeddzieckiego  
ul. Kotzebue Nr. 2  
(róg Wierzbowej).

## „Na Raty“

### Lustra

sprzedaje miejscowym i na prowincję

Fabryka zwierciadeł

MAURYCEGO Silberberga

8, Rymarska, 8.

Uprasza się o łaskawe zwrócenie uwagi na dokładny adres i Nr. 8, również na wywieszony w wystawie napis firmowy.

Nagrody z Wystaw za skuteczność:  
Warszawa 1885, Warszawa 1886, Kraków 1887, Symferopol 1888.

!! TYSIĄCE ŚWIADECTW !!  
PEWNY SRODEK  
**„EXSICCATOR“**  
OSUSZA WILGOĆ,  
ZABEZPIECZA DRZEWO OD GNICIA, GRZYB  
Kailp. — BROSZUR  
KAI ILLUSTROWANA  
BEZPŁATNIE.  
POSZUKUJE  
AGENTÓW.  
Wyn. Inż. G. Ritter.  
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się falsyfikatów.

F. Drechsler  
Warszawa,  
Leszno 14.



ROWERY od  
rs. 125—250.  
BICYKLE od  
rs. 100—220.

Używane welocepedy od rs. 50.



Najtańszy i na różne ceny

## KROKIET

z dodaniem opisu polskiego z figurami,  
oraz Wielki Wybór

Zabaw i Gier ogrodowych

w Składzie JULIANA MÜLLERA

Senatorska 24, wprost Kościoła.